Nr. 34 (1544) Warszawa, 20 sierpnia 1910 r. **Rok XXX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Bezkrólewie ducha.

Za czasów Mahometa istniało jeszcze plemię Azra, z którego pochodziła matka proroka. Plemię to było dotknięte losem osobliwym i nieodpartym: chwila miłości była dla niego jednocześnie chwilą śmierci. Kto pokochał — ten umierał. Zdanie to stało się przysłowiem żałobnym dziwacznego plemienia.

I rzeczywiście — plemię Azra znika z widowni historycznej nagle i niespodzianie. Niemasz po nim ani śladu, ani wieści, prócz chyba owego przysłowia, przechowanego w pamięci ludzkiej. Kochali wszyscy i wszyscy oto wymarli.

Ich wspomnienie żałobne narzuca się dzisiaj wyobraźni naszej, gdy, zamyśleni o losach współczesnego życia, szukamy w zgiełku i w tłumie tych wybranych, którzy naród własny prawdziwą i głęboką potrafią kochać miłością. Czyżby ich spotkał ten sam los, który ongi zniszczył plemię Azra?... Kochali — a przeto wymarli wszyscy co do jednego?...

I nie zostało po nich ani śladu, ani wieści?

Dużo się u nas mówi o patryjotyzmie, frymarczy się nim, jako formułką już uznaną, jako narzędziem do majstrowania i załatwiania własnych spraw i interesów, — dba się wreszcie o handel, o przemysł, o bal na cel dobroczynny, o uroczystość, w której ci i owi mogą zaznaczyć światu swoją na nim obecność za pomocą mniej lub więcej czynnego udziału, dba się o kabaret polski i polską kawiarnię, ale gdzie są ci, którzy dbają o ducha narodu? Gdzież są ci, którym na sercu leży jego kultura, jego myśl twórcza, jego słowo żywe, jego natchnienie nieśmiertelne, wzlot na wyżyny, aby na nich kuć swój miecz złoty i budować swoją twierdzę niezdobytą? Gdzież są ci, dla których naród istnieje nietylko w kawiarni, w kabarecie, w biurze, w handlu i przemyśle — lecz i w pieśni, w pracy twórczej ducha, w zaborczych tryumfach myśli wyzwolonej? Gdzież są ci, którzy wiedzą, co to znaczy być Polakiem i jak to się Polakiem bywa?..

Nie dość przyjść na świat — trzeba przyjść do otworem stojących złotych przybytków kultury narodowej i zastać gotowy inwentarz prawd zdobytych, myśli opanowanych, uczuć, w pieśni zaklętych.

Na nasze przyjście — nie zbudowano nam takiego przybytku, takiej „chaty ojczystej", nie spotkano nas chlebem i solą, nie wprowadzono do Sezamu, gdzie się skarby pokoleń złocą... Starajmyż się tedy my przyszłym pokoleniom taką chatę na ziemi naszej pobudować i mieć dla nich — chleb i sól w pogotowiu.

My — cośmy na świat przyszli bezdomni, zmuszeni szukać skarbów kultury, pokarmu dla ducha i podniety dla myśli twórczej — *za granicą*, w Paryżu, we Włoszech, w Monachjum, w Berlinie, wreszcie w Petersburgu, tylko nie w Polsce.

Na wszelkie powyższe zarzuty mamy swoją wymówkę machinalną i zgoła bezmyślną, która się stała złym nałogiem. Tłumaczymy się zazwyczaj *brakiem środków*, które po zużytkowaniu na potrzeby codzienne życia, nie pozostawiają żadnego *nadmiaru* na poparcie celów mniej codziennych.

Taka wymówka jest obłudą i oznaką zupełnego na istotę narodu zobojętnienia. Taka wymówka przystałaby nam wówczas dopiero, gdyby się u nas robiło choć *cokolwiek* dla potrzeb kulturalnych i duchowych. Lecz nie robi się — *nic*.

Prócz tego wspomniany *nadmiar* zapewne istnieje, jeżeli istnieją kabarety, którym przypisujemy donioslość instytucji narodowych, kluby, gdzie spędzamy czas na przegrywaniu i wygrywaniu grubych stawek, wreszcie pomysły teatru polskiego pod idejowo-artystycznym kierownictwem kapłanów kabaretowych.

Druga nasza wymówka, tak samo nałogowa, polega na zaznaczeniu mimochodem niepewności, oraz niesamodzielności naszego życia zewnętrznego, jako przeszkód do budowania muzeów, zakładania bibljotek i t. d.

Lecz i do tej wymówki mielibyśmy prawo tylko wtedy, gdybyśmy robili choć *cokolwiek*, gdybyśmy budowali swoją kulturę na terenie, wolnym od wszelkiej niepewności i niesamodzielności.

Takim terenem jest literatura nasza. Nasza? Czyż mamy prawo tak ją nazywać, tak ją przywłaszczać sobie samozwańczo? Czyż nie jest ona krwawym i nieludzkim wysiłkiem garstki duchów ofiarnych, które istnieją wbrew woli społeczeństwa, pracu-

ją wbrew warunkom, przez owo społeczeństwo wytworzonym, wzbogacają je swym trudem i mozołem — wbrew nędzy, która właściwie jest odpowiedzią tego społeczeństwa na pytanie, czy pragnie posiadać t. zw. literaturę ojczystą?... I gdyby się twórca z wolą społeczeństwa liczył, *literatura polska nie powinna istnieć wcale.* Lecz twórczość jest bezinteresowna. Wie o tym dobrze i księgarz i wydawca, wie o tym całe społeczeństwo, które z tej bezinteresowności korzystać może zawsze — i korzysta. I jak korzysta!

W jednym ze swoich artykułów Wiktor Gomulicki wylicza talenty polskie, nędzą zdeptane, głodem zniszczone. Wyliczenie samych nazwisk zajęło kilka stron.

Fakt ten, który w innych krajach jest nieszczęśliwym przypadkiem, u nas jest uświęconym prawidłem, zdarzeniem codziennym, zgoła nie budzącym ani zdziwienia, ani trwogi, ani wstydu, ani zastanowienia. Nietylko się z tym godzimy, ale — milcząc — aprobujemy, jako zjawisko czysto swojskie, takie nasze, takie ogromnie nasze!...

Nie dziwi nas i nie przeraża i ten fakt niezbity, że Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy uważa za konieczne stworzenie biura dostarczenia pracy literatom polskim, a więc pracy postronnej, zarobkowej, nie literackiej. A wszakże Towarzystwo to powstało między innymi w celu utworzenia stypendjów literackich, w celu umożliwienia pracy literackiej, która w warunkach obecnych jest w zasadzie—niemożliwa.

Czyż w tej niemożliwości niema woli samego społeczeństwa? Czy też pragnie ono wytworzyć typ osobliwy, odrębny literata polskiego, a mianowicie: literata—handlarza, literata—biurowca, literata—telegrafistę, a wreszcie literata—sklepikarza?...

Dokądże podąża dzisiaj wola naszego społeczeństwa? Na jakich to drogach można ją zdybać, u jakich celów napotkać, na jakim uczynku ziemskim lub niebieskim przyłapać?

Jakąż to tarczą osłania ona teraźniejszość swoją i jakim mieczem w przyszłość uderza?

W tym miejscu czyliż mi wypadnie przypomnieć, że wobec zbyt utrudnionego rozwoju innych potęg życia — literatura ma dla nas podwójne i potrójne i postokrotne znaczenie?

Jest ona Snem Wspólnym, który nas zrzesza duchowo, spaja w jedność niepodzielną, nieci świadomość siebie samych, syci i przechowuje święty ogień w naszej świątyni — nakształt wiecznie czujnej, nieutrudzonej Westalki. Jej obumarcie — jest obumarciem naszym. Jej rozwój — naszym rozwojem. Lecz my, jako społeczeństwo, nie przyczyniamy się wcale do utworzenia wśród nas warunków odpowiednich istnienia dla tych, którzy, *pomimo naszej woli*, oddają się pracy literackiej, naukowej, kulturalnej.

Ta niewielka garstka ludzi — pracowników ducha — jest nam obca i zajmuje wśród naszego społeczeństwa pod względem materjalnym — miejsce paryasów. Z ich wolnej i nieprzymuszonej łaski otrzymujemy „dorobek kulturalny”, jako mannę z nieba, lub raczej, jak grosz wdowi, wrzucany pokryjomu do skarbony narodowej, na którą spoglądamy z pogardą, jak na dłoń wyciągniętą uprzykrzonego żebraka,

Brak wspólnej i świadomej pracy kulturalnej, brak woli, ku celom duchowym wytężonej, rozluźnia i bagatelizuje te spoidła, które ludność tego lub innego kraju wiążą w jedno, niepodzielne społeczeństwo.

Interesy ekonomiczne i polityczne w dzisiejszych warunkach nie są spoidłem wystarczającym. Ich wspólność *musowa* wytwarza w ścisłych i określonych granicach terenu ekonomicznego i politycznego — współzależność i współżycie, które wszakże, gdy mowa o narodowości, wymaga podstaw głębszych i zasad mniej interesownych.

Dość nam wyjść poza granice wspomnianego terenu, dość spotkać się na gruncie neutralnym, ażeby sprawdzić niedostateczność i luźność tych spoideł i stwierdzić, do jakiego stopnia stajemy się co raz to bardziej obcymi sobie nawzajem. Wiadomy to powszechnie fakt, znane to, przysłowiowe niemal zjawisko, jak się Polacy unikają nawzajem poza granicami swego kraju, jaką niechęć czują do wszelkiej „kolonji polskiej”, której obecność przypomina im tylko bezczynność duchową, niemoc kulturalną, beznadziejną, niczym nie zapełnioną pustkę współżycia w kraju, — współżycia, niewytwarzającego nic, okrom mniejszego lub większego handlu i przemysłu, okrom mniejszych lub większych zachwytów dla pierwszorzędnych sopranów, międzynarodowych tenorów i „diw” operetkowych, na których sprowadzenie i utrzymanie zawsze się znajdą środki, posłuszne skinieniu woli naszego społeczeństwa.

I właśnie za hołdowanie tym tenorom i diwom operetkowym, za brak głębszej, wspólnej pracy, za ogólne zaniedbanie naszego ducha narodowego, właśnie za te wszystkie grzechy i przewiny nienawidzimy się nawzajem, o ile się spotykamy na gruncie neutral-

---

Jean Moréas.

Dokoła ksiąg i ludzi.

II.

O „Boskiej Komedji“.

Kiedy ksiądz Cancellerie wyraził domniemanie, że Dante naśladował, być może, pewne ustępy z „Widzenia” mnicha Alberica, wielbiciele wielkiego poety wydali okrzyk zgrozy.

A jednak Dante, wstępował, niezawodnie, w ślady Homera. Genjalnie zużytkował on tylko tworzywo bezładne, nagromadzone uprzednio.

W roku 1304, 1-go maja, trupa niewiadomych artystów urządziła na moście rzeki Arno przedstawienie: grano pewnego rodzaju misterjum, zatytułowane „Dusze potępione”. Na scenie występowały djabły i dusze grzeszne, skazane na męki Piekła. Most ów, jak się okazało — drewniany, załamał się pod koniec widowiska, i aktorzy utonęli w rzece.

Istnieje przypuszczenie, że owe sceny „Dusz potępionych” dostarczyły Dantemu wątku do jego poematu. Atoli, przeciw zdaniu temu inni stawią zarzut, jakoby znaczna część *Piekła* podówczas była już skończona, i nawet, jakoby sztuka, wystawiona nad Arno, zawdzięczała pewne pomysły Dantemu. Są to wszelako spory jałowe. Wielki poeta oraz nieznani autorowie widowiska opracowywali niewątpliwie przedmiot wspólny, upowszechniony zdawna w świecie średniowiecznym.

Znany jest także spór inny. Brunetto Latini, w jednym z dzieł swych, maluje scenę zbłąkania się w lesie, z którego w następstwie wyprowadza go cudownie spotkany *Ovidjusz.*

A więc rzecz jasna! poważnie wyrokuje krytyk: „Podobieństwo planu Latini'ego z pomysłem Danta jest zdumiewające”.

Krytyk inny twierdzi już stanowczo: „Dante naśladował Latini'ego”. Potym wystąpią z kolei ci, którzy podejrzeniem takim będą się oburzać.

Co do mnie, to, zdobywszy się na odwagę przeczytania utworu Brunetta Latini'ego, nie znalazłem w nim nic, poza suchym i zimnym wykazem przestróg moralnych, oprawionych w alegorję bez głębi i bez uroku. Niema tam ani śladu wyobraźni, pomysłowo-

nym, który na chwilę przynajmniej usuwa współzależność ekonomiczną, współzależność interesów materjalnych.

Wówczas—nie mamy sobie nic do powiedzenia!... A wszakże tam—poza granicami duchowo bezczynnego kraju—po rozmaitych Paryżach, Florencyach i Monachjach włóczy się szczupła i przez nas zaniedbana garstka poszukiwaczy wiedzy i kultury. W ostatnich czasach ta garstka staje się co raz liczniejsza i co raz bardziej skazana na głód, na zmarnowanie i zniszczenie.

Stajemy się powoli—bohemą europejską, Cyganerją międzynarodową, przysłowiem nędzy i opuszczenia na ustach obcych narodów.

Tu zaś, w granicach kraju czujemy strach zabobonny przed wszelkim odsłonięciem naszych ran zropiałych, przed wszelkim krytycyzmem, uważając ten ostatni za czyn niemiłosierny, a nawet z duchem narodowym nie zgodny...

Pamiętam kilka artykułów w takim właśnie duchu pisanych... Autorzy tych artykułów, nie warci zresztą wspomnienia, napadali na wszelką myśl krytyczną, proponując przytym powrót do samozachwytu i bolesnego kostnienia w życiu współczesnym, żadnych zmian nie wymagającym... Bronili w ten sposób „duszy polskiej", zbyt zbolałej i zbyt już drażliwej na wszelkie przestrogi krytyczne, na wytykania błędów, lub grzechów... Zalecali—świadomie czy też nieświadomie—lizanie ran własnych i zamknięcie oczu na wszystko, co się u nas dzieje.

Jeżeli te rady dla beznadziejnie chorych dyktowała im naprawdę miłość dla ojczyzny, to miłość to jest zbyt gnuśna i mało dumna, ażeby mogła sobie rościć prawo do obdarzania społeczeństwa swemi radami.

Powinna milczeć i cierpieć w milczeniu, jeżeli na nic innego zdobyć się nie potrafi! Nie Skarga, i nie Pisarew i nie Voltaire, lecz oni właśnie są łaszącymi się wrogami swego społeczeństwa. Budzenie myśli krytycznej w społeczeństwie jest koniecznym i jedynym środkiem jego rozwoju, który wymaga uprzedniego złamania wszelkich przeszkód, zabobonów, skostnień oraz sybaryckiego poprzestawania na tym, co niegdyś los zdarzył, a czem dzisiaj już żyć nie można, choćby dlatego, że przeszłość nie jest teraźniejszością.

Wśród młodego pokolenia ta myśl krytyczna, wzgardzona przez autorów wspomnianych artykułów, budzi się coraz silniej i oczywiściej. Pisma, nowopowstające, przes młodzież redagowane, mają kierunek, a przynajmniej zamiar wyłącznie krytyczny. Zamiast pochlebczego i panegirycznego dziennikarstwa, mającego na celu karjerę osobistą autorów, zjawiają się pierwsze, nieliczne wprawdzie, ale zapowiedź nieomylną niosące—typy publicystów polskich—przyszłych rycerzy ducha, tępicieli nieuctwa i obłudy, oskarżycieli własnego społeczeństwa, które gromadnie siebie, jako naród,—zaniedbuje i zaprzepaszcza.

Ich skarga i trwoga niechże będzie trwogą i skargą naszą! Przynajmniej w chwilach wolnych od zabaw i uroczystości narodowych—pomyślmy o narodzie samym, o jego potrzebach umysłowych i kulturalnych. Świadomie i czynnie potwierdzajmy pracę duchową tych nielicznych a upartych strażników naszego ducha, którzy naukę polską i literaturę i malarstwo, jako mannę niebieską, podają naszym dłoniom, „co nie pracowały na wonną myrrę, na gorący węgiel". Wysilmy wolę naszą ku celom wyższym nieco, niżli interes materyalny lub miła zabawa, ażebyśmy w godzinie prawdziwie uroczystej, o ile nam wybije taka godzina, mieli czym ją przyjąć na ziemi, duchem naszym uprawnej.

Pamiętajmy o tym, że

> Kiedy przyjdzie zmartwychwstanie ludu,
> Kiedy się skończy sen, pełny omamień,
> Jakiegoż trzeba będzie wtenczas cudu,
> Aby odwalić nasz grobowy kamień?

Dbajmyż o to, ażeby pod tym, już odwalonym kamieniem nie ujrzeć pustki i próchna i niedołęstwa i niedotrwania...

Bolesław Leśmian.

Ojczyzna robotnika.

Robotnicy nie uznają ojczyzny". „Nie; robotnicy nie mają ojczyzny"... Oto dyskusja, wszczęta przed sześćdziesięciu laty w Niemczech, powtarzana odtąd wielokrotnie w całej Europie, rozbrzmiewająca u nas od lat kilkunastu, a obecnie w tych samych stereotypowych zwrotach wznowiona z racji obchodu grunwaldzkiego, w którym — ku zgorszeniu nikłej mniejszości — wzięła udział olbrzymia większość robotników polskich.

Prawda, że powyższe tezy trzeba uzupełnić: mowa tu nie o wszystkich robotnikach, lecz o *uświadomionych klasowo* i nie o ojczyźnie wogóle, lecz o *kapi-*

ści, siły lub ponęty; jest to kamienny złom barbarzyństwa, tępym wyciosany toporem, jak słusznie orzekła Akademja; rysy niejasne i trywjalne przeważają w całości; jakiż użytek z tego nudnego kazania mógłby wysnuć dla swych natchnień autor *Boskiej komedji?*...

Daremne te rozważania wypływają z szaleńczej manji pewnego typu umysłów, które nazwałbym *poławiaczami plagjatów*.

Przychodzi mi do głowy pewna przypowieść.

Jakiś pismak, wysilający się na komentarze do wielkich twórców XVII-go i XVIII go wieków, nie mógł oprzeć się przygnębieniu wobec faktu, iż Molière *okradał był* Cyrana de Bergerac. Poczciwiec blizki był przekonania, że, gdyby mniej robił sobie skrupułów, to i on również mógłby dorobić się sławy, idąc wzorem autora „Skąpca".

Otóż zgodzić się musimy, że sam pomysł, tudzież zdarzenia poboczne nie stanowią same przez się o niczym. I naprzykład, jeżeli Dante góruje tak potężnie nad innymi poetami Wieków Średnich, to przewagę ową daje mu tylko szczytność wymowy i śpiewna fala rytmu.

* * *

Historyk Ozanam poświęcił Dantemu jedną z tych prac, które roszczą prawo do zupełności, i które mieć muszą obowiązkowo wstęp, środek i zakończenie. A jednak, niestety! tak mało jest rzeczy do powiedzenia nawet o przedmiotach najdonioślejszych.

Ozanam wszelako ma słuszność, utrzymując, że Dante bynajmniej nie ulega pomniejszeniu przez to, iż gienjusz jego opiera się na tradycji. Naczelnym bowiem znamieniem gienjuszów jest to, że nie bywają oni *nowi*, bywają oni, natomiast, raczej *starożytni*. Wielka sztuka nie goni za nowostkami:

„Sztuka uświęca trudami swymi jedynie to, co bywa trudów owych warte. Musi to być tworzywo trwałe, niepożyte, wypróbowane, a zatym starożytne.

Wielki poeta, jak Dante, styka się z ludem dzięki tworzywu, które odeń bierze, a wzbija się ponad tłumy miarą swej pracy i swego natchnienia.

* * *

Nadmieniłem wyżej, iż wątek *Boskiej komedji* nie jest bynajmniej własnością wyłączną Dantego.

Oprócz *Widzenia Alberic'a* znamy we wszystkich językach ogromne mnóstwo opowieści, w których odmalowany został świat zagrobowy.

Można przytoczyć: *Żonglera, jadącego do Piekła; Dwór Rajski*; *Obrazy Niebios*, wybitnego poety Rute-

talistycznej ojczyźnie. Ta tedy kategorja robotników, nie uznając *burżuazyjnego patryjotyzmu*, uważa się pono za międzynarodowców...

Dodajmy jeszcze jedno wyjaśnienie: żadnego z tych zdań nie wygłosili robotnicy bezpośrednio, lecz w ich zastępstwie ci, co uświadamiają klasowo nietylko robotnika, lecz i wszelkie inne klasy. Tłumaczą naprzykład burżuazji polskiej, że niema ona nic wspólnego ze zwycięstwem grunwaldzkim, które skonsolidowało niepodległe, szlacheckie państwo polskie—nie zaś społeczeństwo burżuazyjne. Na tej samej zasadzie możnaby dowodzić, że dziennikarzy nic nie obchodzi Wawel, a kolejarzy konstytucja 3-go maja.

Naturalnie, takie teoretyczne dowodzenia pozostają zupełnie bez wpływu. Prądy duchowe, płynące od przeszłości ku teraźniejszości, nie biegną po szynach kolejowych, nie wiążą się z obrotem kół fabrycznych i nie zamykają w hermetycznie odgrodzonych korytarzach klasowych. Całkiem innymi drogami dążąc, wsiąkają w duszę narodu, czasem za jego pośrednictwem—w duszę ludzkości.

Cóż nas, Polaków XX wieku — burżuazją czy proletarjat — obchodzić może Rzym starożytny lub klasyczna Hellada?

Cóż one obchodzić mogły szlachcica polskiego z XVI wieku? Nie pomyślał o tym Kochanowski i popełnił kilka tomów rymowanych pomyłek.

Całe zagadnienie jest sztucznie i fałszywie postawione.

Gdy u nas mowa o robotniku, nie pojmuje się go konkretnie takim, jakim jest, lecz operuje się jakimś abstrakcyjnym pojęciem, ściśle i apriorycznie zdefiniowanym. Jest to robotnik z książki, termin ekonomiczny, robotnik, jako czynnik społecznego procesu walki klas. O tym robotniku, chemicznie oczyszczonym z wszelkich domieszek, nie wchodzących w skład jego zasadniczej cechy — klasowości, można wygłaszać wiele twierdzeń nie do obalenia. Ile razy bowiem okaże się, że ta lub owa jednostka, grupa, partja, czy nawet olbrzymia większość zachowaniem się swojem zadaje kłam twierdzeniom, wystarcza odpowiedź, że wynika to z braku klasowego uświadomienia, to ostatnie jest więc ścisłym przystosowaniem się do definicji.

Dyskusja byłaby bardzo uproszczoną, gdyby obie strony przyznały, że nie mówią o tym, co jest, lecz co odpowiadałoby ich życzeniom. Okazałoby się wtedy, że życzenia te w pewnym punkcie się zbiegają, gdy jednym chodzi o to, aby każdą walkę klasową potępiać jako nie narodową, drugim zależy na potępianiu wszelkich objawów narodowej łączności, jako osłabiającej antagonizmy klasowe. Cały impet ataków z obu stron pada naturalnie na tych, których stać wbrew teorji i na solidarność klasową i na uczucie narodowe, — słowem, na „socjal-patryjotów".

Ci ostatni mogą spokojnie drwić z jednych i drugich. Pozostawiając im szermierkę djalektyczną i papierowe zwycięstwa, obejmują pod uprawę i zasiew szerokie dziedziny życia.

Wymodelować szablonową postać robotnika i tchnąć w niego duszę własnego pomysłu jest istotnie wielkim ułatwieniem w rozwiązywaniu zagadnień społecznych na szpaltach pism — ale samej sprawy ani krokiem naprzód nie posuwa. Dla oddziaływania na rzeczywiste stosunki, to jest, dla akcji politycznej—nie ma innej drogi, jak poznanie rzeczywistych ludzi i poszukanie w nich samych punktu oparcia dla idei, które się im zaszczepia.

Jakiż jest tedy w rzeczywistości stosunek klasy robotniczej do narodowości? Czy istotnie ojczyzna jest pojęciem burżuazyjnym, rodzajem klasowego fetyszu?

W czasie rewolucji francuskiej okrzyk „La patrie est en danger" poruszył nietylko mieszczaństwo, lecz i proletarjat Francji. Robotnik, tak samo jak mieszczanin, nie chciał oddać kraju na pastwę obcego najazdu, robotnik karał zdrajców i przelewał krew. Był oszukany przez burżuazję, ależ tak samo *oszukiwał* go po niej Napoleon I, a Napoleon III, w pół wieku później, chcąc odświeżyć tradycje cesarstwa, szukał oparcia w masach i znalazł je. Wtedy, gdy armia obca znów wtargnęła do Francji, gdy ojczyzna znowu znalazła się w niebezpieczeństwie, nietylko burżuazja odwróciła się od dynastji, lecz urok jej runął i w oczach ludu.

Nigdy proletarjat żadnego narodu nie stawał w obronie zdrajców. Zdarzało się to czasem innym klasom. Nie ulega też wątpliwości, że gdyby dziś całość i niezawisłość Francji, Anglji, czy Niemiec miała być zagrożoną, robotnik — nawet najbardziej uświadomiony klasowo — stanąłby w jednym szeregu z burżujem w obronie wspólnej ojczyzny.

Nie czyniłby tego, ani pod przymusem, ani jako wywiedziony w pole, lecz w poczuciu, że ta ojczyzna—kapitalistyczna czy burżuazyjna — jest mu niezbędnie potrzebną, jest jego naturalną areną pracy i walki, także walki klasowej.

Robotnik może nie znaleźć szczęścia w domu, choć ono jest w ojczyźnie, ale gdy go w ojczyźnie nie ma, nawet go szukać nie może.

---

boeuf'a, oraz zabawny *Sen o Piekle* pióra Raoula de Houdau i t. d. i t. d.

Podróż świętego Brendana jest utworem bardzo starożytnym, jak sądzić należy z form jego łaciny; został on przełożony na większą część języków europejskich. Mnich święty, opuściwszy wyspę Erynu, błądzi po morzach. Przybywa do raju ptasiego; potym staje u stop góry, będącej wrotami Piekieł. Kowale o smagłych twarzach biją tam młotami w kowadła, na których wiją się potępieńcy.

Wielu autorów przekazało nam legiendę o *Czyśću świętego Patrycego.* Pewien rycerz Angielski, aby odkupić grzechy, wyrusza na pielgrzymkę — do Czyśća. Przybywa na wyspę, na której otwiera się jaskinia cudowna św. Patrycego. Po długotrwałym poście i żarliwych modłach, rycerz puszcza się odważnie w drogę podziemną. Djabły napastują go, nie mogąc jednak złamać jego postanowień. Idzie coraz dalej i spotyka wreszcie dusze potępionych, jęczące w męczarniach najrozmaitszych. Leżą na ziemi, przybite do krzyża, węże owite dokoła nich duszą je splotami swymi, wicher mroźny smaga gołe ich członki; niektóre, zawieszone nad stosem, skwarzą się w ogniu nigdy nie gasnącym, djabły obracają je na rożnach bez przerwy; inne w roztopionym metalu kąpać się muszą, potym wiatr je porywa i ciska w nurty potoku, w którym djabły na żelazne haki je nadziewają. Rycerz śród grzeszników owych rozpoznaje sporo swych towarzyszów boju; męztwo w nim truchleje i, chwiejąc się, wchodzi na most, rzucony nad przepaścią. Most ów, niesłychanie wązki, rozszerza się nagle pod stopami rycerza i, jakoby, prowadzi go do wrót, po przez które widać ogród przepyszny. Jest to Eden, w którym przebywają sprawiedliwi przed wstąpieniem do nieba. Na spotkanie nowego przybysza wychodzi procesja, olśniewająca oczy chwałą niebieską. Rycerz czuje się oczyszczony.

W pewnym podaniu z XIII wieku, pełnym siły naiwnej, święty Michał Archanioł przychodzi budzić świętego Pawła i rzecze doń tymi słowy:

— Wstań a pójdź za mną, zbywszy lęku. Bóg chce, abym cię zawiódł do Piekła i pokazał mękę i smutek tych, którzy tam cierpią.

Święty Michał kroczy poprzód, zaś św. Paweł idzie za nim, odmawiając psalmy.

Na progu Bramy Piekielnej widzi drzewo, całe w ogniu; na drzewie tym wiszą grzesznicy, którzy w życiu swym myśleli jedynie o gromadzeniu bogactw,

To odczuwa w wyższej mierze niż każdy inny robotnik polski, gdyż odczuwa na własnej skórze.

Wszelkie klęski narodowe spadające na wszystkie klasy spełeczne, gniotą i jego tym silniej, że jest wobec nich bardziej bezbronny. Jest on silniej związany z krajem i z narodem, jest z natury swego położenia mniej międzynarodowcem niż kapitalista.

Przyjrzyjmyż się trochę naszemu robotnikowi, gołem okiem, a będziemy musieli wzruszeniem ramion przyjąć tę wielką blagę kosmopolityzmu, na jego rachunek roztaczaną. Kosmopolita, międzynarodowiec — to obywatel świata. Obywatelem świata może być uczony, artysta, wynalazca związany myślą, pracą, twórczością swoją, dążeniami i interesami osobistymi z taką dziedziną życia, w której istotnie tracą wszelkie znaczenie różnice narodowe i kordony graniczne. W jakimkolwiek cywilizowanym kraju się znajdzie, jest on u siebie. Równocześnie, nawet ekspatrjowany, ma możność utrzymania łączności z narodem. Jego ojczyzna jest szerszą niż jeden kraj, ale nie jest od tego kraju oderwaną.

Międzynarodowcem jest arystokrata, plutokrata, burżuj — w technicznym znaczeniu tego słowa. Dla zdobycia kosmopolitycznego obywatelstwa posiada dwa najważniejsze, niezawodzące środki: wielojęzyczność i pieniądze. Jest mu równie dobrze na Rivierze, w Egipcie i w Paryżu; wszędzie stworzy sobie ognisko domowe, może mieć nawet kilka ognisk na zmianę. Żaden ucisk polityczny, żadne klęski narodowe i krajowe go nie dosięgną. Ojczyzna może tonąć we łzach i krwi, a jemu uśmiecha się włoskie słońce; ojczyzna może dźwigać więzy, a on korzysta ze swobód szwajcarskich i angielskich, ojczyzna może cierpieć głód i nędzę, a na jego usługi jest zbytek paryski, w ojczyźnie może panować ciemnota, dla jego dzieci stoją otworem najlepsze szkoły i uniwersytety całego świata.

Widzimy też, że na ogół biorąc, burżuje z tych praw kosmopolitycznego obywatelstwa czynią pełny użytek. Gdzież oni byli u nas, w latach burzliwych? Zapełniali niemieckie kurorty, włoskie wille, zagraniczne stolice. Toż samo czyniła arystokracja i plutokracja rosyjska. W Nizzy, w Monte Carto, w Paryżu i Berlinie pełno było polskiego i rosyjskiego gwaru.

Czekano na uspokojenie, co gdy nastąpiło, powróciły owe wędrowne ptaki i — głoszą solidarność narodową.

A co czynił w owym czasie robotnik polski? Czy międzynarodowość zasłoniła go choć przed jedną narodową klęską? Czyż dla niego, pozbawionego środków do swobodnego przenoszenia się z miejsca na miejsce i środków do porozumienia się z ludźmi obcej narodowości, pomyślność kraju, w którym się urodził, swobodny rozwój narodu, którego jest członkiem, nie jest niezbędnym warunkiem osobistej pomyślności i swobody?

Co więcej: ludzie bogaci i wykształceni mogą nawet ciągnąć bezpośrednie osobiste zyski ze wzrostu bogactwa w obcych krajach. Bezpieczne lokaty w zagranicznych bankach, a korzystne w wielkich międzynarodowych przedsiębiorstwach, udoskonalenia komunikacji istnieją dla nich tak samo, jak piękności obcej przyrody, arcydzieła zagranicznej sztuki i literatury.

Ale pytam się, jakie osiągnie korzyści robotnik polski ze zdobyczy klasy robotniczej w Anglji lub Francji? Cóż jemu dały lub dać mogą francuskie syndykaty, angielskie trade-uniony, niemieckie ubezpieczenia i kasy chorych? Solidarność jest dotychczas czysto ideowa, platoniczna, a jeśli wyraża się niekiedy w czynie, to nie przechodzi miary objawów takiej solidarności humanitarnej, jak np. ofiarność Warszawy dla powodzian paryskich, lub dla mieszkańców zburzonej Messyny.

Istnieje emigracja i przerzuca ręce robocze z kraju do kraju, ale emigracja nie jest czynnikiem międzynarodowej solidarności proletarjatu, raczej przeciwnie, jest to najazd na cudze rynki pracy i z tego punktu widzenia zwalczany bywa przez miejscową, klasowo uświadomioną ludność roboczą. Nędza i bezrobocie, czyniące robotnika wygnańcem z jego własnej ojczyzny, nie awansują go jednak bynajmniej na obywatela świata. Przykłady dowodzą, że wynaradawia się on wiele powolniej, niż mieszczanin i inteligient, bo choć mu trudniej przychodzi utrzymywać łączność z porzuconą ojczyzną, trudniej również nawiązać stosunek z przybraną. Jeżeli trafi na kraj wolny, korzysta ze swobody dla utrzymania swej narodowości; w przeciwnym razie obrona przed wynarodowieniem odgradza go tym ściślej od kultury obcej, która go otacza.

Ostatni kongres w Waszyngtonie jaskrawo uwydatnił patryjotyzm polskiej emigracji w Ameryce i wielką wśród niej niepopularność kosmopolitycznych haseł. Polscy robotnicy w Westfalji trzymają się bardzo odpornie względem propagandy socjalizmu wprost dla tego, że jest to propaganda obca i że nacisk giermanizacji zbyt silnie daje im odczuwać potrzebę narodowych łączników, aby międzynarodowe mogły być dla nich sympatyczne i zrozumiałe.

---

ograbiając bliźnich. Jedni zawieszeni za nogi, inni za udo, za głowę albo szyję. Nieco dalej św. Paweł dostrzegł także piec, potym rzekę rwącą, w której djabły nurkowały jak ryby, djabły o paszczach lwów. Na rzeką biegnie most wysoki a wązki. Ci, których żadne nie obarczają wyrzuty, przechodzą łatwo po moście, lecz wszyscy inni wpadają do wody, w ręce djabłów.

Św. Paweł, głęboko wzruszony, pyta się anioła, kto są owi potępieni?

— Bracie, — odrzekł św. Michał, — ci, którzy stoją zanurzeni w rzece po kolona, byli to zawistni oszczerce; ci, którzy są pogrążeni do pasa, popełnili cudzołóstwa i napastowali żony cudze. Na wieki zwarła się woda nad głowami tych, którzy knuli spiski przeciw Kościołowi. Atoli zobaczysz kary jeszcze okropniejsze.

I wskazał dłonią studnię, zapieczętowaną siedmią pieczęciami.

— Tutaj zamknięci są ci, — rzekł Archanioł, — którzy nie wierzyli, jako Bóg raczył cierpieć i umrzeć na ziemi.

Nagle djabeł jakiś z uciechą przeleciał w powietrzu. Niósł on duszę grzesznika, który tego dnia właśnie umarł. W tejże chwili zbiegła się czereda innych djabłów, którzy, pochwyciwszy nieszczęsną duszę, poczęli drwić z niej.

— Nieboraczko! wyrzekłaś się Pana Boga, więc poigramy z tobą.

Zgroza wstrząsnęła św. Pawła. Lecz nagle ujrzał on dwóch aniołów, lecących, którzy w objęciach swych nieśli duszę człowieka prawego do Raju.

I dały się słyszeć słowa pieśni: *Bądź pozdrowiona, duszo tkliwa.*

W onej chwili wszyscy potępieni wybuchnęli płaczem, błagając Michała Archanioła i świętego Pawła, aby wstawili się za nimi u Stwórcy.

Tyle nędzy i uciemiężenia wzruszyło serca świętych; padli obaj na kolana i jęli prosić Boga o zlitowanie.

A potępieni jęczeli bez przerwy:

— Biada! Jezu, synu Maryi, racz nas wysłuchać. Przez twe święte odkupienie, przyjmij naszą modlitwę. Ulituj się nad grzesznikami.

Bóg, w miłosierdziu swojem, wysłuchał ich, i odtąd raz na tydzień pozyskali ulgę, w dniu Zmartwychwstania.

Na Górnym Śląsku lud i to w szczególności klasa robotnicza dźwiga cały ciężar sprawy narodowej na swoich barkach, a na Śląsku austryjackim socjalizm (a więc klasowo uświadomiony proletarjat) jest ostoją polskości.

A u nas? Póki hasła wyzwolenia klasowego wiązano ściśle z hasłami narodowymi, zdobywały one szeroką wśród ludu roboczego wziętość, gdy jednak zwalczanie socjal-patryjotyzmu zakwitło na szeroką skalę, nietylko nie zacieśniono solidarności z proletarjatem wszystkich krajów, lecz rozerwano ją w proletarjacie jednego narodu tak dalece, że się rozstrzępiła na szmaty i że towarzysze jedni przeciw drugim chwytali się noża i kuli. Oszukano lud? zgoła, ale czegóż to dowodzi, że dał się w ten sposób oszukać i że wywieszanie jaskrawych narodowych haseł starczyło, by go zmobilizować i uzbroić?

Czy *szlachecko-kapitalistyczna* Polska i *burżuazyjny* patryjotyzm są istotnie tak obce i wstrętne jego naturze, antagonizmy narodowe tak dalece niezrozumiałe, łączność klasowa tak oczywistą i jasną? Ciemny, obałamucony robotnik *narodowy* stał się ślepym narzędziem polityki, jego interesom przeciwnej, uczucie jego skierowano na fałszywą drogę, ciosy jego padały pod mylnym adresem, ale uczucie to było rzeczywiste i rzeczywistymi ofiary, jakie dla niego ponosił! Po latach przejrzał, spostrzegł swą bolesną pomyłkę i odwrócił się od tych, co jego dobrej wiary nadużywali — ale nie odwrócił się od haseł, którym służył.

Czyż nigdy nie nauczymy się wyciągać wniosków z faktów? Czyż doświadczenia wyciskać zawsze będą ślady tylko na naszej skórze, lecz nigdy na naszym mózgu?

Konkretny robotnik (robotnik - człowiek, a nie robotnik - pojęcie), tem mniej jest skłonny do walki klasowej, im mniej są zaspokojone jego potrzeby narodowe. Czuje on instynktownie, że naprzód trzeba mieć ojczyznę, a potym dopiero można ją przerabiać, wiedząc zaś z doświadczenia, że nieraz walkę pracy z kapitałem wygrywa ktoś trzeci, ma w tym wszelki interes, by zostać sam na sam ze swoim wrogiem. Dość mu porównać położenie partji socjalistycznej w Galicji, a u nas.

Robotnik przeczuwa i coś więcej jeszcze; wie, że przywilej klasy posiadającej polega nietylko na bogactwie materjalnym, lecz na odziedziczonej po *szlacheckiej* Polsce spuściźnie duchowej. Do niej należą nietylko ziemie i lasy, kamienice i fabryki, lecz bibljoteki i zbiory, natchnienia poetów, wspomnienia wielkich mężów, owoce dziejowych doświadczeń. To wszystko i jemu także się należy, po to wszystko on sięgać ma prawo. Kultura narodowa to dla niego, jak pierś rodzonej matki. Dzieci bogaczy mogą sobie zafundować obce mamki i ssać pokarm duchowy z angielskich, francuskich, niemieckich źródeł; dla dziecka proletarjatu istnieje tylko pierś macierzysta, albo głód.

Kto te jego aspiracje odkłada do jutra, kto mu mówi, że dopiero na gruzach kapitalizmu zbuduje on swoją ojczyznę i stworzy własną kulturę, bo obecna nie dla niego, — ten go oszukuje.

Naprzód, kultury się nie fabrykuje; ona rośnie bardzo powoli i sięga korzeniami bardzo głęboko w przeszłość. Zaczynać tę pracę od odrzucenia przeszłości, to tak, jak zakładając ogród, zaczynać od wycięcia wszystkich drzew.

Powtóre, robotnik, choćby najbardziej uświadomiony klasowo i kulturalnie, nie stanowi i nie będzie stanowił narodu, tylko jego cząstkę i to niewielką. W najbardziej przemysłowej dzielnicy Polski, w Królestwie Polskim, cząstka ta nie wynosi 10%. (We Francji 16%). Oderwana od całości nie dźwignie tak ciężkiego brzemienia; w dziedzinie kulturalnej skazana jest tedy na współdziałanie z innymi klasami, na solidarność narodową.

Ojczyzna musi być wspólnym dziedzictwem wszystkich klas; — wszystkich, a więc nie tych wyłącznie, co ją dziś zmonopolizowały w swym ręku. Słusznie też klasa robotnicza, słusznie lud wiejski domaga się w niej przynależnego sobie udziału. Demokratyzacja rozszerza i pogłębia pojęcie narodu, a nie polega na kolejnym wypieraniu jednej garstki przez drugą garstkę,

Podniesienie poziomu umysłowego i dobrobytu materjalnego warstw pracujących, wytworzenie z nich siły zorganizowanej, świadomej, samodzielnego czynnika w społecznym i politycznym życiu, ściślej zespala te warstwy z narodem, gdyż, w miejsce biernej zależności, stawia czynny współudział i zbiorową za jego losy odpowiedzialność.

Dopiero jednak takie narodowe uobywatelenie otwiera im drogę do międzynarodowej solidarnej akcji. Ciemny, wyzyskiwany, zdezorganizowany, z wszelkich praw wyzuty robotnik polski przez wyparcie się swej polskości nie stanie się międzynarodowcem, lecz beznarodowcem. Europa jest wprawdzie dużo większa i więcej warta niż Polska, a jednak, jeśli, wyrzekłszy się Polski przyzna sobie, tytuł własności do Europy, będzie nie lepiej odszkodowany za swe straty, niż za cierpienia tego życia—dziedzictwem Królestwa Niebieskiego.

Iza Moszczeńska.

Watykan bez maski.

Dawno kurjerki nie były tak ciekawe, jak teraz, kiedy wślad za prasą zagraniczną, acz z ociąganiem niechętnym, stawią przed oczy społeczeństwa perypetje spraw hiszpańskich, niejedno puste czoło do forsownych rozmyślań zmuszając — co należy poczytać prasie warszawskiej za wyjątkową zasługę. Czytajcież, niepoprawne stare dzieci, dotąd sążnistymi karmione baśniami na przyźbie plebańskiej, czytajcież krótkie depesze, co nam zwiastują drganie nowego życia—niestety! z tamtej strony Pirenejów.

Niejeden ku swemu zdumieniu ujrzy naocznie, jak to naród, zdało się, obumarły wśród pień modlitewnych, a gromnic, a kadzideł—dźwignął się na wezgłowiu, odwalił zmorę, co go setki lat dusiła, wyważył sklepienie grobu i ku postrachowi tucznych grabarzy, tym cmentarzem władnących—wyszedł na świat słoneczny i stanął ochoczo wśród żywych narodów, wołając: *oto jestem!* I dowie się niejeden, że Perez Galdos, hiszpański Sienkiewicz, wystąpił do narodu swego z orędziem—ku pokrzepieniu serc—i o dziwo! zamiast rozkazać: *zaśnij!* woła doń: *ocknij się, narodzie!* wyjdź z gnuśnej apatji, otrząśnij się z pajęczyn przeszłości zatęchłej, gnijącej, zatrutej i nieszczęsnej, imaj się młota i kielni, buduj nowe życie od podstaw Myśli Wolnej! Obaczy ruch niezwykły na zamarłych ulicach, porosłych trawą i gruzem zawalonych, skąd kościół wyssał wszystką moc i wybujał potwornie na pustkowiu kastylskim, dziś rojnym od tysiąców ludzi z ogniem w oczach, z otuchą w sercu, z okrzykiem jednomyślnym: precz z Watykanem! niech żyje Hiszpanja!

Obaczy też—po raz pierwszy—*Watykan bez maski*, bez mszałów, kropielnic, wjatyków, bez frazesów miłości i pokory, a natomiast z płonącą żagwią buntu, ze sztyletem spiskowca, z przekleństwem żołdackim i pobudką bojową na ustach. Przekona się, jak rychło i naturalnym tokiem rzeczy, świątynia Pańska staje się kordegardą, pełną marsowego szczęku, a każda zakrystja—fortem, kędy zewsząd ściągają zaciągi. Ujrzy, jak to Kościół zażega do boju miljony kobiet, jak z nich formuje groźne kohorty, ćwiczone w kruchtach żelaznym rygorem spowiedzi, smagane dyscypliną pokut i wizją piekieł, bezwolne i karne, niezrównane

narzędzie walki, terroru, presji w giętkiej a sprawnej dłoni księdza—przywódcy.

Mobilizacja kobiet hiszpańskich niejedne otworzy oczy, uparcie zamknięte na specyficzny stosunek kleru do sprawy kobiecej. Kościół chce mieć kobiety dla siebie na niepodzielną własność i dlatego odgradza je od świata; dlatego gromi feminizm i emancypację, że sam stać pragnie na czele hufców kobiecych, odpowiednio zaprawionych do boju—a raczej odpowiednio *zniepprawionych*. Ustami ks. Niedziałkowskiego wołając: *Nie tędy droga, szanowne panie!* kościół spędza je precz z uczelni, biur, bibljotek, odczytów i wystaw—jak to miało niedawno miejsce z Kruszyniankami w Bagateli—zewsząd, gdzie tworzy się wolne człowieczeństwo—w jasno określonym celu, aby mieć pod ręką *Kobiecą Wandee* i w stosownej chwili rozpętać, podjudzić, poszczuć żony na mężów, siostry uzbroić na braci, matki na synów!

— Nieprawda!—krzyknie mi tu z za węgła płatny kościelny hajduk czy miecznik;

— Nieprawda! przywtórzy naiwny obrońca z pod znaku Bolesława Prusa, jeden z tych, co mają oczy, a nie widzą, mają uszy, a nie słyszą. Takiemu odpowiem:

— Nie ze mną się prawuj, człowieku. Jedź do Hiszpanji—prawuj się z życiem, boś z nim skłócony; probuj je nagiąć do poziomu swojej parafji, probuj nastraszyć gniewem twego proboszcza, przed którym chylą się jeszcze polscy luminarze; lecz oni dzierżą dziś wszechświatowy rekord bojaźni.

Kobiety i chłopstwo—te dwie rezerwy ściąga Kościół na pole walki w chwili ostatecznej, kiedy zabiegi dyplomacji spełzną na niczym, a zwykli sprzymierzeńcy zawiodą. W Hiszpanji Kler, prócz kobiet, uruchomił tedy chłopstwo baskijskie, hordy półdzikich górali, odzianych w owcze skóry. Na czele tej armji zbawienia, złożonej z samych analfabetów, a więc iście katolickim duchem owianej, stawia Watykan księcia—pretendenta, Jaime'a de Bourbon, co w Warszawie służył w huzarach, wdzięczną po sobie zostawując pamięć wśród lokajów, kokot i księży. Warszawski huzar, bywalec Aleksandryny, zmywszy święconą wodą ślad zdrożnych uciech, dziś pod egidą Watykanu ruszyć ma wstępnym bojem na „arcykatolickiego" króla Alfonsa, nie cofając się przed rozlewem krwi, przewrotem, gwałtem, anarchją... *Bóg tak chce*, a raczej tak chce ów osobliwy Hiszpan, kard. Merry del Val, okaz rzymskiego kosmopolity, wymowna dość przestroga dla tych, co pragną rzymskie poddaństwo skojarzyć z miłością kraju.

Widzimy tedy Watykan w potrójnej postaci: *demagoga*, co rozprzęga rodzinę, odgradza żony od mężów i zbuntowane tłumy kobiet rzuca przeciw Państwu; *anarchisty*, co wichrzy wśród ciemnych mas chłopstwa, niecąc zarzewie wojny domowej, przyczym górale baskijscy pójdą na pewną śmierć przeciw bagnetom i działom, a księża, patrząc na rzeź, zacierać będą pulchne dłonie z uciechy, że udało im się wypłatać psotnego figla Canalejasowi; *spiskowca*, co knuje zmowy antydynastyczne, wysuwając różnych „pretendentów" na plac boju, jak niesumienny gracz wysuwa z rękawa atut karciany; a zarazem nie przestaje ani na chwilę oskarżać postępowców hiszpańskich o sojusz z republikanizmem, co grozić ma zagładą dynastji, której on, kościół, zawsze był wiernym sługą...

Mówią niektórzy wślad za Sienkiewiczem: Kościół był, jest i będzie—niewzruszony na opoce Piotrowej. A życie odpowiada: co się przetworzyć nie umie—musi rozprzęgnąć się i zginąć. Cechą rzymskiego katolicyzmu jest *nieruchomość*; tam, gdzie apologeci Rzymu upatrują jego wyższość nad Reformacją, kryje się właśnie niechybnego zapowiedź upadku. Przyjrzyjmy się tej zachwalanej opoce: zamiast silnego, jak granit, ducha prawości i pogody, widzimy rój niespokojnych, zepsutych a chciwych dworaków, kłębowisko wyzutych ze czci i wiary karjerowiczów, cynicznych mataczy, gotowych każdej chwili jąć sztylet zamiast monstrancji; polityków na przemian giętkich i brutalnych, układnych i srogich, zależnie od tego, czy mają do czynienia z heretycką potęgą, zbrojną w bagnet i pikielhaubę, czy też z jakowąś katolicką Hiszpanią, czy Polską, z którą się liczyć nie trzeba, jak z czołobitnym lennikiem...; a wewnątrz tego organizmu, do cna stoczonego niewiarą, wątpieniem, buntem lepszych jednostek, a grubym, przyziemnym, czysto materjalnym zabobonem i cynicznym hasłem użycia sfer urzędowych—zamiast ufnego, ofiarnego współdziałania—stały szpiegowski dozór, podstępne wywiady, ściany seminarjów, pełne judaszowych oczu, sroga cenzura, nieustająca „ochrana", co rok ściślejszy rygor jakowegoś stanu wojennego, a co miesiąc olbrzymi skandal, kompromitujący proces, niedorzeczna encyklika, zatarg o szkoły we Francji, o klasztory w Hiszpanji, ciągły upadek powagi papieskiej, nieład i rozprężenie w całym olbrzymim a chorym cielsku — oto Watykan.

L. G.

Kwestja kobieca w wiekach średnich.

Kwestja kobieca, jako problemat pracy zarobkowej kobiet, egzystowała w wiekach średnich tak samo jak dzisiaj, coprawda, w odmiennych formach. Inne były jej powody, inne objawy i rozmiary.

Obecna kwestja kobieca [1]) wywołaną została głębokimi zmianami w całej strukturze naszego życia ekonomicznego. Gospodarstwo domowe w ciągu XIX wieku we wszystkich krajach przemysłowych zastąpione zostało gospodarką towarową. Kobieta, która dotąd sama piekła chleb, przędła len, z owoców i jarzyn, pochodzących z własnego sadu, przyrządzała konserwy i wogóle dom prawie we wszystko własną pracą zaopatrywała, zmuszoną została do kupowania tego wszystkiego na rynku lub w sklepie. W tym celu potrzebne jej były pieniądze, a jedynym środkiem do ich otrzymania była i jest praca zarobkowa. [2])

Kiedy więc dziś powodów pracy zarobkowej kobiet szukać musimy w czynnikach czysto ekonomicznych, w wiekach średnich były one więcej natury demograficznej i polegały głównie na wielkiej różnicy między liczbą osób płci męzkiej i żeńskiej.

Tak np. według spisu ludności Norymbergji z roku 1449, na 1000 dorosłych mężczyzn przypadało 1168 kobiet. W Bazylei, w roku 1454, proporcja była podobną (1246 kobiet na 1000 mężczyzn), a w Frankfurcie nad Menem, w roku 1385, wynosiła ona 1100 osób płci żeńskiej na 1000 osób płci męskiej.

Widzimy więc, że w wiekach średnich egzystowały liczne zastępy kobiet, dla których małżeństwo było niepodobieństwem. Liczba ich była tym większą, że z jednej strony celibat kleru, z drugiej przepisy cechów, pozwalające jedynie majstrom na żenienie się, znacznie pogarszały istniejący stan.

Narzuca się wobec tych faktów pytanie, w jakich to zajęciach ten nadmiar kobiet, nie mogący znaleźć w małżeństwie zabezpieczenia, znajdował poza jego obrębem utrzymanie. Ciekawy ten problemat roztrzą-

[1]) Mówiąc o kwestji kobiecej tutaj mam zawsze na myśli problemat pracy zarobkowej.

[2]) Problemat ten obszernie traktowałem w artykule „La maternité et l'évolution capitaliste", który ukazał się w „Revue d'economie politique. 1909. W skróceniu praca ta również w „Ekonomiście" (r. 1909) pod tytułem „Macierzyństwo a kapitalizm".

sa znany ekonomista, Karol Bücher, w broszurce, zatytułowanej „Die Frauenfrage im Mittelalter". [3])

Dziwnym jest, że przemilcza on prawie zupełnie główne źródła zarobku kobiet — służbę domową. Jeszcze w roku 1867 w małych miasteczkach pruskich $^5/_6$ zarobkujących kobiet temu poświęcało się zajęciu. Przypuszczać należy, że i w XIV-tym i XV-tym wieku stosunki były podobne. Tak np. w Norymberdze, w roku, 1449 jedna dziesiąta (9,9%) całej ludności składała się z służących (Mägde). Na 5379 dorosłych kobiet wogóle przypadło ich 1563. [4])

Poza służbą domową spotykamy dużą liczbę kobiet w całym szeregu innych gałęzi pracy ludzkiej. W swych studjach nad ludnością Frankfurtu nad Menem w wiekach średnich Bücher naliczył 200 takich zajęć, między innymi rzemiosła, jak tkactwo lnu i wełny, krawiectwo, kuśnierstwo, garbarstwo, i t. d., w których kobiety czynne były jako robotnice. W niektórych nawet miastach cechy dopuszczały je do godności majstra. Dopiero w późniejszych wiekach kobiety prawie zupełnie wykluczono z cechów.

Między kobietami Frankfurtu w XIV-tym i XV-tym wieku znajdujemy malarki i doktorki (między rokiem 1389 i 1497 było ich 15) muzykantki i golarki, kramarki, drukarki i bankierki.

Napływ jednak do tych zajść był tak silny, a płace po części tak nizkie, że kobiety w inny sposób musiały zapewnić sobie utrzymanie.

Tym tłumaczy się nader prędki wzrost klasztorów i zakładanie licznych instytucji, mających na celu zabezpieczenie biednych niezamężnych i owdowiałych kobiet.

Obok tych zakładów o charakterze religijnym, rozwijają się domy rozpusty. Rady miejskie i książęta panujący budowali je często na własny rachunek i ciągnęli z nich dosyć pokaźne zyski. Mieszkanki tych domów tworzyły rodzaj cechu i władza broniła je energicznie przeciwko konkurencji prostytutek, uprawiających nieprawnie swe rzemiesło w domach prywatnych. W Lipsku kobiety publiczne same wybierały przewodniczącą i brały udział w procesjach. Przy wszelkich uroczystościaciach reprezentowane były obok innych cechów, jako odrębny stan ludności. W Zurychu nawet przy przyjęciach ambasadorów, zasiadały wspólnie z burmistrzem do stołu.

Przepisy prawne broniły je przed wszelkim uciskiem i zapewniały im pewną wolność osobistą, prawo chodzenia do kościoła i t. d. W Ulm musiały one zajmować się w chwilach wolnych przędzeniem lnu, gospodarz jednak musiał za to wnosić pewną sumę do kasy pomocy, służącej do wspomagania chorych i pozbawionych chleba prostytutek.

Liczby dokładnej kobiet publicznych w wiekach średnich nie posiadamy. Według wszelkich opisów jednak z XV-go wieku wnioskować musimy, że była ona nader wielką. Coraz bardziej wzrastająca rozpusta pociągnęła za sobą silną reakcję; wyszła ona z łona cechów, które członkom swym wszelkie stosunki z prostytutkami zabroniły. O wiele później i władze publiczne przeciwko prostytucji występować zaczęły. Kobiety publiczne zmuszone zostały do noszenia specjalnego ubioru, który je od reszty ludności odróżniał, w kościele otrzymały one odosobnione miejsca, grzebano je poza murami cmentarza i t. d.

Ręka w rękę z tym postępowaniem, często okrutnym, idzie praca reformatorska. Powstają specjalne klasztory dla kobiet upadłych. Prywatni filantropi na te same cele łożą pieniądze.

---

[3]) Broszurka ta wyszła obecnie w drugim wydaniu. (Tübingen. Verlag der H. Laupp'schen Buchhandlung. Pierwsze wydanie ukazało się w roku

[4]) Karl Bücher. Die Bevölkerung von Frankfurt am hain im XIV i XV. Jahrhundert. Tübingen 1886 str. 34.

Widzimy więc, że problemat pracy zarobkowej kobiet egzystował i w wiekach średnich. Znaczenie jego jednak Bücher znacznie przecenia. Pisze on bowiem: „Ta średniowieczna kwestja kobieca była o wiele trudniejszą do rozwiązania, aniżeli dzisiejsza; obejmowała o wiele szersze warstwy ludnosci, aniżeli to, co dziś pod tym słowem rozumiemy. Jak nieznacznymi i małymi muszą wydawać się obok nędzy masowej kobiet wieków średnich cierpienia, którym nowoczesny ruch kobiecy zaradzić pragnie" (str. 66).

W słowach tych jest wiele przesady. Kwestja kobieca wieków średnich zupełnie odmienną jest od dzisiejszej. Wtedy jedynie kobiety, nie mogące wyjść za mąż, musiały poza domem szukać zarobku, dziś zmiana ustroju ekonomicznego zmusza bez wyjątku panny i mężatki do pracy zarobkowej. Z rokiem każdym liczba robotnic wzrasta z nieznaną dotąd szybkością. W artykule „Macierzyństwo i kapitalizm" przytoczyłem liczne tego dowody. Dodać tutaj pragnę, że według opublikowanych niedawno rezultatów, było w Niemczech 12 czerwca 1907 roku $9^1/_2$ miljona zarobkujących kobiet. Liczba ich powiększyła się od roku 1895 o 44%, podczas gdy wzrost zarobkujących mężczyzn wynosił jedynie 20%.

Bücher ze zgrozą patrzy na te zmiany. „Czy naprawdę ma to być celem ostatecznym rozwoju naszych narodów kulturalnych" pisze on, kończąc swą broszurkę „aby kobietę obarczyć znów ciężarem produkcji, którego się powoli przez dwa tysiące lat pozbywała? A więc powrót do barbarzyństwa, rozkład rodziny takiej, jaką ją reformacja stworzyła, upadek gospodarstwa domowego, w którym kobieta panuje, wciągnięcie jej do systemu zarobkowego, w którym tylko podrzędną rolę odgrywać może: nie trudno jest wierzyć w możliwość takiego nonsensu, trudno zrozumieć kulturę jako taką, która na zgubę naraża jeden z swych najcenniejszych klejnotów" (str. 75).

Tutaj autor nie mówi już jako uczony, który objektywnie patrzy na objawy społeczne i stara je wytłumaczyć, przemawia on jako człowiek, który z bólem patrzy na zanik instytucji, w których się wychował i które pokochał. Tym się tłumaczą ostatnie strony jego książeczki.

Radykalna zmiana ustroju gospodarczego, która odgrywa się przed naszymi oczami, nie jest tak niebezpieczną, jak mu się zdaje. Jak każdy przełom, dla narodów słabych może on być zgubny, dla tych jednak, które posiadają soki żywotne, nie grozi on niczem. Już dziś możemy obserwować, jak wobec nowych warunków, życie rodzinne nie ginie, lecz przekształca się. Szkoła bierze na siebie obowiązki gospodarskie, które dotąd wyłącznie spoczywały na kobiecie, matka jednak, jako obywatelka, czuwając nad rozwojem tych instytucji, opiekuje się jak dawniej dobrobytem i zdrowiem swych dzieci.

Jan St. Lewiński.

NA DOBIE.

Z wyroku partyjnego.

Krwawa fala rewolucyjna, która wciąż nowych rozbitków wyrzucała na bruk krakowski, po raz pierwszy zbryzgała jego kamienie i rzuciła przed oczy mieszkańców obrazek partyjnego teroru. Dotychczas wyroki partyjne wykonywano tylko tam, gdzie nie było można powoływać odstępców przed trybunał opinji i trybunały koronne. Szpiegów, demaskowanych na galicyjskim gruncie, oddawano pod sąd, lub piętnowano w prasie. Narodowy Związek Robotniczy przeniósł za kordon metodę walki, którą tylko rozpaczliwa samoobrona usprawiedliwiać może. Prasa galicyjska

jest tem skonsternowana; prasa wiedeńska wzburzona. *Neue freie Presse* nawołuje rząd do energicznego ukrócenia gospodarki szpiegów na galicyjskim gruncie. Istotnie, ostatnie lata, a zwłaszcza ostatnie miesiące przynoszą coraz to nowe odkrycia, nowe procesy szpiegowskie, że zaś zdemaskowani stanowią zaledwie pewien procent czynnych, można sobie wyobrażać, jaką nieprzejrzaną armię stanowią te nietoperzowe egzystencje, zatruwające atmosferę życia publicznego wyziewami zgnilizny. Stąd łatwo sprawa Rybaka może przybrać szersze rozmiary i znaczenie, a proces Trudnowskiego może się stać punktem wyjścia dla szerokiej akcji sanitarnej. Tak to czasem wybuch epidemji przynosi w zysku gruntowną dezinfekcję i uzdrowotnienie miasta.

Tymczasem w całym przebiegu śledztwa wychodzą na jaw fakty zdumiewające, zagadkowe — niepojęte. Rybak był do ostatniego czasu urzędnikiem towarzystwa Szkoły Ludowej, wydawcą *Polaka*, *Myśli Wszechpolskiej*, organizatorem i działaczem, wtajemniczonym we wszystkie najpoufniejsze sprawy stronnictwa N. D., a zarazem Narodowego Związku Robotników, który przecież oderwał się od endecji dwa lata temu. Równocześnie słyszymy, że już w więzieniu uchodził za szpiega i w oczach partji w Królestwie był skompromitowany, że Tow. Sz. Ludowej było przed nim ostrzeżone, „że przejęto jego korespondencję z ochraną". Dla czegóż z tych ostrzeżeń, a zwłaszcza z tak niezbitych dowodów jak korespondencja, nie uczyniono użytku?

Wszakże każdy prowokator póty tylko jest szkodliwy, póki go nie zdemaskują, a nie potrzeba zabijać fizycznie człowieka, jeśli go można obezwładnić zabójstwem moralnym, nieraz w skutkach straszniejszym.

Czemu tego nieuczyniono? Jeżeli grało tu rolę tchórzostwo, to w dziwnym świetle stawia się organizacja, która nietylko toleruje wśród siebie podobną jednostkę, lecz pozostawia w jej ręku ster interesów. A może nie było pewności, czy oskarżenie jest słusznym? W takim razie, czyż można na zasadzie niesprawdzonej plotki zabijać człowieka.

Pierwszym krokiem, zabezpieczającym przed zdradą, bywa ostrożność, — dopiero ostatecznym, do którego tajne związki wszelkich ludów i epok uciekały się w braku wszystkich innych — bywało morderstwo polityczne.

Endecja i jej rozgałęzienia, zaniedbawszy najelementarniejszej ostrożności, dopuściły do teroru i wykazały, jak dalece i na tym polu pozbawione są najelementarniejszego taktu politycznego.

Pasporty.

Od wielu lat oczekujemy z upragnieniem reformy pasportowej w duchu potrzeb kulturalnych społeczeństwa i jesteśmy tak naiwni, że wierzymy w możliwość tej reformy, którąby zadała kłam utartemu w Rosji twierdzeniu, że obywatel rosyjski (poddany) składa się z trzech części: duszy, ciała i pasportu. Ale najpotrzebniejszy jest pasport.

Niedawno ofiarą braku tej najważniejszej części składowej obywatela rosyjskiego padła rodzina Jasińskich z Sosnowca. Jak pisze *Kurjer Zagłębia*, rodzina ta wyemigrowała przed kilku laty z Sosnowca do Austrji. Małżonkowie ostatnio pracowali przy budowie kolei, a gdy robota się skończyła, pozostawili troje drobnych dzieci na kilka dni u stróża domu, a sami udali się do innej miejscowości, w celach poszukiwania zarobku przy budowie kolei. Żandarm austryjacki, podejrzewając ich o włóczęgostwo, aresztował, pomimo że mieli legitymacje (nie te wszakże pasporty typowe, które są częścią składową człowieka). Od tej chwili rozpoczęła się ich niedola. „Papiery" aresztowanych odesłano do naczelnika pow. Będzinskiego, ten zaś przesłał je do policmajstra m. Sosnowca, który, po zebraniu danych, skierował je do magistratu m. Sosnowca. Magistrat, po zebraniu danych, prześle papiery do bezpośredniej swej władzy, — naczelnika pow. Będzińskiego, który, jako nieupoważniony do korespondowania z władzami austryjackimi, prześle cały aparat do rządu gubernjalnego; ten zaś porozumie się z równą sobie władzą austryjacką, która poleci władzy powiatowej odstawienie małżonków J. do granicy i oddanie w ręce władz rosyjskich. Te zaś, prawdopodobnie, odeślą ich etapem do „miejsca przynależności", t. j. do gub. Wołyńskiej, poczym dopiero nieszczęśliwi będą mogli starać się o pasport zagraniczny i szukać swoich dzieci, o których losie nic nie wiedzą.

Żandarm austryjacki postąpił zgodnie z zasadą, dotyczącą trzech części składowych obywatela rosyjskiego, a stąd nastąpią dalsze konsekwencje, opłakane dla ludzi uczciwych, Bogu ducha winnych. Stąd może płynąć nauka pożyteczna dla innych „obywateli". Choćbyś miał dyplom kilku uniwersytetów, choćbyś miał najzaszczytniejsze dyplomy honorowe obywatelstwa za twe zasługi na polu nauki, literatury, sztuki, pracy społecznej, — nic nie pomoże! Jeżeli nie posiadasz pasportu formalnego, z wykazaniem miejsca „przynależności", poświadczonego przez cyrkuł lub gminę, z wyszczególnieniem miejsca zamieszkania, — będziesz wysłany etapem do „miejsca urodzenia" twego lub twego dziadka, jako zwyczajny *brodiaga*. Będziesz szczęśliwy, jeżeli tam ciebie przyjmą i nie każą jechać dalej, do krainy Iwanów, „niepomniaszczych rodstwa".

Nie każdy jednak jest tak szczęśliwy, że może chodzić bezkarnie po świecie z takim pasportem formalnym. Jest wszakże na to rada: od czasu jak istnieją w Rosji pasporty, istnieją także fabryki pasportów, w które się zaopatrują nielegalni obywatele krai. O takich fabrykach wspomina jeszcze Maksimow w swym dziele „Syberja i ciężkie roboty". Od tego czasu nie znikły one z powierzchni ziemi, przeciwnie— im bardziej są wymagane legitymacje osobiste, tym bardziej wzrasta produkcja falsyfikatów. Taki jest zwykły porządek rzeczy.

Pomimo to wszystko, surowość formalistyki wzrasta, a obecnie jest stosowana ze szczególną skrupulatnością do pasportów zagranicznych. Ofiarą ostatnich ograniczeń padli w tej mierze kupcy.

BADANIA NAUKOWE.

W poszukiwaniu nowego światopoglądu.

(Z powodu pism Stanisława Brzozowskiego p. t.: „Kultura i życie" „Legienda młodej Polski" i „Idee").

(Ciąg dalszy).

II.

„Podstawą ludzkości w świecie jest to, co zdoła ona stworzyć. ale podstawa ta musi być stworzona, t. j. musi być czymś, co istnieje, trwa, może być przekazywane z pokolenia w pokolenie. Życie jest tworzeniem, ale twórczość ludzka jest jednym tylko z wielu nieznanych nam, niezależnych od nas procesów twórczych, z których każdy, zapewne, dąży do zorganizowania bytu nie istniejącego jako wartość stała, ale istniejącego jako pewna wspólna, dźwigająca wszystkie te procesy twórcze możliwość". [1])

Brzozowski zwalcza, jak zobaczymy dalej, mechanistyczne pojmowanie świata i życia oraz determi-

[1]) Idee st. 330.

nizm w imię swobodnej twórczości ludzkiej, z cytowanego ustępu wynika jednak, że w twórczości swej jesteśmy czymś zupełnie biernym i nieświadomym. Ale w takim razie czym się różni taka twórczość od mechanizmu i po co zwalczać determinizm?

Argumentacja Brzozowskiego o tym zagadnieniu sprowadza się do kilku zdań, których nie probuje nawet uzasadnić, jakkolwiek nadaje im pozory formuł matematycznych.

„Musimy, mówi [2]), coś określonego zrobić ze sobą, aby I-sza forma naszego życia stała się II-gą. Dopóki nie znaleźliśmy jej, trwa I-sza forma życia, lub też powstaje jakakolwiek inna, ale nie II-ga forma życia...

...Musimy swemu życiu nadać pewien specyficzny *a* kierunek, aby przedmiot został tym, czym go mieć chcieliśmy, aby na miejsce I-szej formy życia wystąpiła ta właśnie II-ga... Żadna pojęciowa, intelektualna analiza II-giej formy nie wywoła jej, póki właśnie *a* dokonane nie zostanie.. Pojawienie się więc II-giej formy życia nie zależy więc od naszej świadomej woli, nie wypływa z logicznej analizy, musi nastąpić domieszka iracjonalna, a określona *a*, aby forma II-ga się pojawiła.

Świadoma nasza wola trzyma się więc na powierzchni życia mocą nie własną, lecz tego właśnie niedającego się wydedukować, nielogicznego, niemyślowego, a przecież jednoznacznie określonego *a* pierwiastka. *a* musi być *a*, aby z I stało się II". Następnie autor uogólnia to, co powiedział wyżej: „Mamy stworzyć akt, giest *a*, aby z I stało się II. *a* jest tym giestem, tym zaklęciem, na skutek którego świadomość nasza konstatuje zmianę — oznaczoną tu przejściem od I do II... [3]) Sfałszowaniem absolutnym doświadczenia jest, gdy się ten stosunek przedstawia tak, że na podstawie koniecznych, lub przynajmniej normalnych, prawidłowych związków po I następuje II".[4])

Brzozowski mówi dalej, że chcąc, aby z I nastąpiło II, choć owo *a* jest określone, nie można go z góry wyprowadzić, lecz trzeba stworzyć.

„Tu mamy całą krytykę determinizmu".

Krytyka ta nie jest dla determinizmu niebezpieczna. Istotnie, całe dowodzenie Brzozowskiego, ubrane niepotrzebnie w zawiłą szatę formuł, oznacza to, że czyn *a*, albo giest, jak kto woli, będący aktem twórczym człowieka — wyrywa on z łańcucha przyczynowego. Mówi: żeby z I przejść do II, trzeba aktu twórczego *a*. Ale skąd się ten akt bierze? Dlaczego w badaniu naszym mamy zatrzymać się przed tym pytaniem? Frazes, że akt twórczy dokonany jest przez życie, nie usuwa tego pytania. Przeciwnie, wywoła inne — jak życie tworzy akt twórczy? Jeżeli nauka nie może nam w całości odkryć mechanizmu twórczości, nie znaczy to jeszcze, że jest ona bez przyczyny. Bez względu na to, czy przyczynowość wyprowadzać będziemy z doświadczenia, czy uważać za formę ujmowania zjawisk, tkwiącą w nas — narzuca się nam ona przy badaniu zjawisk. Co badanie takie zyskuje, gdy przerywamy łańcuch przyczyn i skutków i wprowadzamy twórczy i bezprzyczynowy akt życia? Czy to nam wyjaśnia cokolwiek? Oczywiście, nic.

Objaśnianie wszystkiego przez „twórczość samorzutną życia" i wstrzymywanie się od dalszej analizy nie jest i być nie może argumentem przeciwko determinizmowi. Oznacza to tylko dobrowolne wstrzymywanie się od dalszych pytań. Badając sumiennie objawy twórczości ludzkiej w nauce, sztuce i życiu społecznym, z łatwością przekonywamy się, że ujawnia się ona na tle pewnych stosunków społecznych i naturalnych. Teorja powszechnego ciążenia nie powstaje wśród buszmenów, nie widzimy też złożonego ustroju parlamentarnego wśród ludów, stojących na nizkim stopniu rozwoju i żyjących w stanie gospodarki naturalnej.

Każdy akt twórczy musi mieć swe przyczyny. Przyczyn tych możemy nie znać wszystkich, gdyż łańcuch przyczynowy jest nieskończony. Tym lepiej jednak poznajemy zjawiska wszelkiej kategorji, im gruntowniej zgłębiamy ich przyczyny. W każdym razie nic nas nie upoważnia do twierdzenia zgóry, że twórczość jest bezprzyczynową.

Ani wywody Bergsona, ani innych nie dają na potwierdzenie tego argumentów stanowczych...

Brzozowski zwalcza determinizm z powodów subjektywnych natury uczuciowej. Usunięcie przyczynowości jednak i przerywanie jej łańcucha bezprzyczynowymi „aktami twórczymi" ludzi nie może dać nawet uczuciowo-moralnego zadowolenia. Istotnie, co człowiek zyska na tym, jeżeli, wyrwany z łańcucha przyczyn i skutków, oddany zostanie na pastwę nie zdeterminowanych „aktów twórczych" innych ludzi? Poczucie zależności może być i jest przykre; pojmowanie jednak życia, jako szeregu aktów bezprzyczynowych, przerywających łańcuch zjawisk przyczynowych, oddaje człowieka na pastwę niepewności i przypadku. Chyba, że każdy człowiek tworzy świat w sobie zupełnie zamknięty, nie mający żadnego związku ze światem innych ludzi, tego jednak nawet Brzozowski nie twierdzi, gdyż uważa społeczeństwo ludzkie za coś istniejącego niewątpliwie.

Jak we wszystkim, tak i w sprawie determinizmu jest on niekonsekwentny. Istotnie, powtarza, aż do znudzenia, w różnych ustępach swych prac[5]) twierdzenie, że człowiek jest produktem historji,że nie podobna go od niej oderwać, że ona stwarza jego duszę i t. p. Pogląd taki jest uznaniem determinizmu. Przeszłości niepodobna ściśle odgraniczyć od teraźniejszości i przyszłości. Skoro determinizm obowiązuje w historji, to obowiązuje i w życiu bieżącym i w procesie „stawania się" przyszłości.

Już raz w literaturze naszej usiłowano godzić naukowe pojmowanie zjawisk życiowo-społecznych z wyzwoleniem naszego „Ja" z łańcucha przyczynowego. Mianowicie Walczewski w swoich „Zagadnieniach Socjalizmu" usiłował wykazać, że nasze „Ja" jest niezależne od zjawisk i nie zdeterminowane. Aby jednak utrzymać się na tym stanowisku, pozbawił to „Ja" wszelkiej treści, umieszczając jego popędy, uczucia i dążenia w sferze zjawisk, podlegających prawu przyczynowości. W ten sposób „Ja" zostało niby wyzwolone, ale stało się pustym dźwiękiem bez wszelkiej treści.

Można i należy zwalczać zbyt uproszczone pojmowanie determinizmu w zjawiskach życiowych i społecznych, polegające na pojmowaniu człowieka i ludzi, jako mechanizmów, które biernie się zachowują wobec otoczenia. Człowiek i społeczeństwo występują w rzeczywistości, jako siły czynne, twórcze, przerabiające w sobie to, co otrzymują z zewnątrz i tworzące przez to nowe siły. Ta jednak działalność ludzka jest i być musi uzależnioną od całego szeregu łańcuchów przyczynowych [6]). Determinizm skomplikowany i autonomiczny, bogaty w swoich przejawach, zastąpić powinien stary determinizm mechaniczny i prosty!

Czytelnicy widzieli, z jaką lekkomyślnością Brzozowski usiłował obalić pojęcie przyczynowości w zjawiskach życiowych. Wszystkie zwalczane przez siebie teorje usiłuje zbyć kilku frazesami. Najzawilsze zagadnienia rozstrzyga w kilku zdaniach w sposób kategoryczny. Łatwo jest pocieszać ludzi bajeczkami

[2]) Idee st. 178 i 179.

[3]) Idee st. 180.

[4]) Idee st. 181.

[5]) Oprócz rozmaitych ustępów z „Idej" patrz „Legienda młodej Polski" rozdział p. t. „Nasze ja i historja" st. 1 — 23.

[6]) Termin ten rozumiem w znaczeniu, w jakim je używa Alfred Fenillée w licznych swoich dziełach.

o tym, że człowiek tworzy świat, że nie ludzkość urabianą jest przez siły zewnątrz niej stojące, lecz że ona je tworzy. Te tanie pociechy nie usuną tych złowrogich żywiołów, które niszczą życie ludzkie i o których, nawet w chwilach najradośniejszych, człowiek nie może zupełnie zapomnieć.

Brzozowski sądzi, że najogólniejszą dla nas właściwością świata jest to, „że jest on współmierny z pracą: przyjmuje ją w siebie, zapisuje w sobie i chroni jej wynik". Pracę samą określa, jako wymianę pewnego przeciągu naszego życia na pewne stałe, lub względnie stałe, niezmienne, lub względnie niezmienne warunki naszego dalszego życia [7]. Zdaniem autora, tylko dzięki współmierności świata i pracy naszej „nie jesteśmy wobec tego, co jest po za nami, w położeniu głuchoniemego". Do poglądu tego przywiązuje on wielką wagę, i stwierdza, że jest pierwszym, który go wypowiada. „Bardzo mi jest przykro, mówi on, że muszę narazić moich rodaków na przeświadczenie tak gorzkie, że wygłoszona tu zasada nie została zformułowana, ani rozwinięta przez nikogo na Zachodzie, że tym razem, istotnie, filozofja w Polsce robi krok naprzód, który będzie prędzej czy później powszechnie uznany i że dzieje się to za sprawą autora tej pracy".

Brzozowski nie rozwija systematycznie swej „filozofji pracy", zwłaszcza jej strony teoretyczno-poznawczej, robi natomiast mnóstwo luźnych uwag o świecie i o rozmaitych teorjach filozoficznych. Jak w innych okolicznościach, tak i tu, twierdzenia swoje wypowiada w sposób apodyktyczny, wygłasza raczej „prawdy", aniżeli je uzasadnia.

Charakterystyczną jest rzeczą, że wszelkie określenia uważa za złudzenia. [9] Po takim wyznaniu niepodobna zrozumieć, dlaczego pisze wogóle swoje prace dla innych ludzi, gdyż wymiana myśli odbywa się za pomocą pewnych określeń...

Zdaniem Brzozowskiego „istota prawdy tkwi nie w treści jej, lecz w stosunku, jaki bardzo różne treściowo myśli i systematy myśli przybierać mogą do człowieka". [10] Dla uwydatnienia tej myśli przytacza długą cytatę z dzieła Simmla p. t. „Filozofja pieniędzy", którą uzupełnia dalej swoimi rozumowaniami. „Prawdą, mówi, jest to, co prowadzi do działania w sposób, odpowiadający warunkom utrzymania się i rozwoju gatunku". Powyższe określenie jest już dlatego niewłaściwe, że jest zbyt ogólnikowe; w skomplikowanych stosunkach, w których rozwija się gatunek, trudno jest ściśle orzec, czy taka lub inna teorja jest naogół bezwzględnie dla niego pożyteczna, albo szkodliwa.

Należałoby natomiast powiedzieć, że prawdą, w stosunku do pewnej kategorji zjawisk, jest to, co pomaga gatunkowi w orjentowaniu się w nich, w dokładnym ich ujmowaniu, oraz w ich przewidywaniu. Twierdzenia, dotyczące jednej kategorji zjawisk, nie mogą być oceniane z punktu widzenia wpływu na inną ich sferę.

Prawdę w dążeniach społeczno - politycznych grup ludzkich trudniej jest określić, gdyż tkwią w nich liczne antagonizmy, które nie występują w badaniu zjawisk.

Chcąc odpowiedzieć na pytanie, co jest prawdą w tych dążeniach, należałoby napisać cały traktat.

Zwalczając wszystkie formy racjonalizmu, odrzucając posługiwanie się pojęciami naukowymi, Brzozowski opiera się na intuicji życia. Napróżno jednak czytelnik szukałby w pismach jego uzasadnienia konsekwentnego filozofji intuicyjnej. Tylko w szkicu o Bergsonie i Sorelu zatrzymuje się nieco na intuicji czasu pierwszego z tych pisarzy.

Poznanie filozoficzne mogłoby się opierać tylko na intuicji naszego gatunku, t. j. na intuicji wspólnej wszystkim ludziom, nigdy jednak na intuicji pojedynczych jednostek.

Poglądy filozozoficzne Brzozowskiego są wynikiem skrajnego subjektywizmu, wartość mogą mieć tylko dla niego, jako objawy pewnych przeżyć. Dla ogółu są bez żadnej wartości, chociażby dlatego tylko, że nie są doprowadzone do porządku, że się kłócą ze sobą, że nie są zupełnie uzasadnione, tylko wygłaszane z emfazą.

Samo pojmowanie filozofji przez Brzozowskiego jest dziwaczne i nieuzasadnione, co uwydatnia się w jego szkicu, p. t. „Świat nauki i świat filozofji". [11]

Filozofja powinna się wyzwolić od nauki.

„Filozofja, mówi, jest dziedziną życia duchowego, twórczości kulturalnej, całkowicie odrębną od tych innych, które mianem nauki i sztuki są oznaczone. Obok tych dwuch, jest ona trzecią siłą kulturalną, odrębną od pozostałych i w tej samej mierze niezależną od nich, w jakiej one niezależnymi są od niej. Inne zupełnie pierwiastki, czynniki, zdolności i moce duchowe znajdują swój wyraz w filozofji, niż w nauce. Filozof jest innym typem, innym gatunkiem człowieka niż uczony". [12])

„Każdy filozof stwarzał sobie swój świat, w którym żył on i ci, co szli za nim i na tym zasadzało się właśnie to, co czyniło go filozofem... [13]) Uczony nie odpowiada za swoje spostrzeżenia i uogólnienia. Im mniej w nim jest jego osobości, jego ja, tym łepiej zadanie jego czyni zeń tylko medjum przyrody. Konstatuje on i ujawnia to tylko, co jest—oto wszystko..."

Nowi filozofowie nie umieją się jeszcze przystosować do nowych zadań, bo „chcą rozstrzygać na drogach poznania to, co jedynie na drodze życia rozwiązane być może. Filozofja nie jest postacią poznania, jest czymś głębszym o wiele, jest formą życia, formą stającego się czynu".

Charakterystyczne jest ciągłe powoływanie się na życie bez bliższych wyjaśnień. Brzozowski nie poucza nas wcale, w jaki sposób życie rozwiązuje to, czego rozwiązać nie może poznanie. Dlatego też cała powyższa tyrada jest pozbawionym treści, nic nie mówiącym ogólnikiem, jak większość zresztą wywodów tego pisarza. W szkicach jego roi się od odwoływań do życia i czynu, szkoda tylko, że te magiczne zaklęcia nic nie mówią, nic nie wyjaśniają.

Filozof „przepisuje, chce przepisać kierunek świata" i „przeżywa świat cały, jako swą odpowiedzialność i swój czyn".

Widzimy, że fantazja Brzozowskiego jest bardzo bujna, tak bujna, że kojarzy się aż z niepoczytalnością umysłową...

Brzozowski nie tylko więc pisze nonsensy filozoficzne, lecz podnosi je jeszcze do godności metody królowej nauk.

(c. d. n.) *Ludwik Kulczycki.*

LITERATURA i SZTUKA.

Wspomnienia młodej robotnicy. Z przedmową Augusta Bebla. Warszawa, 1910.

Skromna rozmiarami i formą książeczka ta przerasta znaczeniem swym niejedno imponujące dzieło. Bardziej wstrząsająca niż sensacyjna powieść, bezpośredniej działająca niż agitacyjna broszura, głębiej

---

[7]) Idee st. 191.

[8]) Idee st. 191.

[9]) Idee st. 193.

[10]) Idee st. 47.

[11]) Idee st. 60 — 69.

[12]) Idee st. 62, 63.

[13]) Idee st. 64.

pouczająca niż teoretyczne rozprawy społeczno-ekonomiczne — odegra ona poważną rolę w duchowej ewolucji czytelników. Nie należy ona ani do literatury, ani do naukowego piśmiennictwa. Jest to wyrwany wprost z życia wykrawek dotykalnej i sprawdzalnej rzeczywistości, rodzaj dokumentu, lub raczej corpus delicti w trwającym od wieku, nieprzedawnionym procesie upośledzonych i krzywdzonych miljonów o sprawiedliwość społeczną. Autorka nie rezonuje, nie filozofuje; po prostu opowiada fakt za faktem dzieje swego smutnego młodego życia, ale w tej jednostkowej autobiografji — jak w kropli wody, znajdujemy odbicie całego świata nędzy, cierpień, daremnych wysiłków, całej klasy, wtłoczonej do podziemi gmachu cywilizacji, a wyrywającej się na powierzchnię, na światło dnia, na wolne powietrze przestrzeni. Na tle warunków życia roboczego proletarjatu rysuje się tu szkicowy obraz jego psychiki, nie tej, o jakiej prawią tendencyjnie idealizujące ją mowy i broszury, ale rzeczywistej, wyrosłej na tle twardej walki o byt, walki, nieustającej z widmem głodu i nędzy. Każdy fakt z życia młodej robotnicy rzuca promyk światła na jedną z tysiąca poszczególnych kwestji, związanych z kwestją robotniczą i daje pole do głębokich refleksji. Naprzód widzimy posępne tło ogniska rodzinnego, w którym ojciec, alkoholik i matka zapracowana, ujarzmiona niewolnica, toczą nieustanne walki w oczach wystraszonych i zbiedzonych dzieci. Dzieciństwo bez najsłabszego nawet promyczka radości i pieszczoty, dzieciństwo zaniedbane a wyzyskiwane, podstępna walka rodziców z przymusem szkolnym, który okrada rodzinę z rąk roboczych, wyczerpanie fizyczne i choroba, jako nieuchronny wynik nędznych warunków istnienia i przedwczesnej pracy — składają się na posępny obraz wspomnień z lat najmłodszych. Jedyne lepsze chwile w tej epoce, chwile względnego spokoju i szczęścia, są to te, które autorka spędza w szpitalu!

Rozdzierający tragizm bije z prostych słów, opisujących okresy bezrobocia i poszukiwania pracy. Beznadziejność położenia rodzi fatalistyczną wiarę w potęgę nadprzyrodzoną, żarliwość religijna szuka oparcia w nadziemskich sferach, gdy na ziemi wszystko zdało się sprzysiężone na zgubę i zagładę nieszczęśliwych. Młoda robotnica — wraz z innymi towarzyszkami niedoli — odbywa nabożne pielgrzymki do miejsc świętych; postami i umartwieniami dręczy zbiedzone nędzą i chronicznym głodem ciało, w nadziei cudu i łaski. Ale niebo jest równie niewzruszonym i obojętnym jak ziemia. Bardzo interesowna, choć bardzo zrozumiała pobożność stygnie, wiara ustępuje miejsca rozczarowaniu, sceptycyzmowi, wreszcie zupełnej negacji. Ponad szarzyzną powszedniego mozołu i codziennej troski, młoda dusza rwie się w krainę ułudy, oddając się namiętnie czytaniu. Naprzód karmi się i przekarmia romansami kuchennymi, pornografją, której nie rozumie, powieściami rozbójniczymi, rozpalającymi wyobraźnię. Stąd przechodzi do Szyllera i klasyków, do powieści współczesnych, budzących refleksję i powoli kształtujących w niej jakąś etykę i jakiś światopogląd. W końcu spływa na nią nowe objawienie: zaznajamia się z doktryną socjalistyczną. Jest to dla niej istotnie jakoby ewangielja; w miejsce porzuconej religji nowa wiara, w którą wlewa cały zasób idealizmu, poświęcenia, entuzjazmu, nagromadzony w młodym sercu, a potrzebujący ujścia.

Bezsilny, cierpiący atom w bezkształtnej masie ludzkiej ujrzał się nagle solidarną cząstką zorganizowanej i świadomej swych celów całości. Robotnica przeobraża się w działaczkę, niewolnica w towarzyszkę, a rozkwit życia duchowego daje jej szczęście. Ten jednostkowy proces psychiczny tłumaczy nam ewolucję duchową masy, która się staje zorganizowaną klasą.

Książka napisana została w Austrji przez robotnicę niemiecką. Na naszej niwie dotychczas nie zbierano takich dokumentów życiowych i może książeczka Sempołowskiej „Z Dna Nędzy" jest jedynym promykiem światła, rzuconym w głąb tego mrocznego podziemia, ponad którym wzniesiono budowę naszej rodzimej kultury.

Takich żywych dokumentów potrzeba nam więcej niż gotowych doktryn i teoretycznych traktatów, boć należy nam przedewszystkim znać grunt, na którym stoimy, należy nam raz przecież w miejsce abstrakcyjnych definicji zacząć operować konkretnymi faktami. Tylko życie samo wytknąć może drogę życiu.

„Wspomnienia młodej robotnicy" zasługiwały bezwarunkowo na przyswojenie ich naszemu piśmiennictwu; niestety — nie można jeszcze powiedzieć, aby je teraz na język polski przetłumaczono, gdyż to, co p. Hollander jako swój przekład podaje, nie jest już wprawdzie niemczyzną, ale wcale jeszcze do nazwy polszczyzny nie może mieć pretensji. Jest to jakaś dziwna gwara bezceremonialnie komponowana przez człowieka, który się po polsku nauczył czytać, ale pisać w tym języku nie umie. „Jedzenie było daleko nie takie smaczne jak w szpitalu", „Ani razu nie wydarzyło mi się coś w szpitalu", „Pracowałam w fabryce patronów" (zamiast naboi), „kancelarja domu dla dla biednych" (Armenhaus—przytułek) „niema nadziei wyzdrowienia i być zdolną do pracy".

Należałoby bardzo stanowczo protestować przeciw dość powszechnemu mniemaniu, że języka polskiego uczyć się nie potrzeba, lecz można to pozostawić naturze.

Z. O.

Starcze igraszki.

TEATR LETNI: **Barykada**. Sztuka w 4-ch aktach P. Bourget'a.

Starcy niekiedy bywają równie okrutni jak — dzieci. I również jak dzieci w okrucieństwie swym— bezmyślni. Krańcowości stykają się: — powiada przysłowie.

Dziecko *poza światem*, który je otacza, nie dostrzega *siebie*; starzec, natomiast, *poza sobą* nie dostrzega *świata*. W konsekwencji, oba bieguny życia — świt i zachód wieku ludzkiego — w jednakim stopniu nie odczuwają węzłów solidarności, jaka najściślej wiąże je z otoczeniem. Wiek dziecięcy żyje głodem wrażeń zewnętrznych i, nie mając poczucia własnej odrębności, rozprasza się w środowisku; dusza starca, przeciwnie, zamknięta w skamieniałych rubieżach swej jaźni, cofa się trwożnie przed falą wrażeń w zacisze wewnętrznych przeżuwań. I tu i tam, atoli, zachwiana zostaje równowaga między jaźnią, a światem zewnętrznym; na obu kresach nie znajdujemy zarówno świadomej siebie pełni współdziałania dwu tych czynników zasadniczych wszelkiego życia i postępu: w obu wypadkach niema mowy o ustaleniu równorzędnego stosunku wartości między podmiotem a przedmiotem. I stąd właśnie, z braku rzeczywistego współczuwania i współmyślenia ze środowiskiem istot żyjących, płyną, psychologicznie biorąc, pobudki okrucieństwa. Możemy, na wypadkach powyższych, najwymowniej stwierdzić, jak głęboko etyka spokrewniona jest z logiką, jak bezpośrednio *błąd spostrzegania* przeistacza się w kategorję woli, rodząc *winę moralną*

Na przykładzie „Wirów" Henryka Sienkiewicza mieliśmy przykrą sposobność przekonać się naocznie, jak fatalnie jednostronność pola jego *wrażeń* odbiła się na charakterze społecznych jego *wartościowań* przy ocenie zdarzeń życia bieżącego. Poznaliśmy bezwstyd jego pióra na usługach starczej wyrafinowanej złośliwości, i szyderstwo niemocy, i po nad wszystkim owo urągliwe, tępe okrucieństwo człowieka, który w swej piersi, miast serca, nosi garść popiołu.

Wszakże, jakby nie dość było tej rodzimej para-

dy *della bestia trionfante*, jaką święci szalejąca obecnie reakcja wstecznictwa, p. Józef Kotarbiński, kierownik literacki Dramatu i Komedji (a może anonimowy, a złośliwy jego zastępca) postanowił spotęgować wrażenie ohydy i niesmaku, wystawiając na scenie *Teatru Letniego* „Barykadę" Bourget'a. Sztuka ta, zawierająca 4 akty, mieści tyle w sobie stęchlizny ideowej, tyle jadowitej zgnilizny, że możnaby nią wytruć ryby w całym Oceanie Spokojnym.

Autor, który przez lat 40 w swych powieściach i romansach erotycznych zwiedzał tysiące alków, rozbierał setki kobiet z odzienia i ze wstydu, wtajemniczając je w najdziksze potworności płciowe, na starość, czując krew stygnącą w obumarłych tętnach, zapragnął grzechy całego życia odkupić — moralizowaniem socjalistów. Atoli, przenosząc splot dawnych swych doświadczeń w nową dziedzinę działań, Bourget popadł w samotrzask iluzji, której nie potrafił także oprzeć się Sienkiewicz. Tym panom śni się, iż używając nowych wyrazów, czynią istotnie nowe odkrycia, że przedewszystkim odmieniają oni własną naturę, gdy tymczasem, w rzeczywistości, przeżuwają tylko dawny, stary swój, rozpaczliwie banalny frazes. Ich oczy ścigają tylko widma; w ich uszach grają tylko echa.

W rezultacie Bourget, podobnie jak Sienkiewicz, z najdonioślejszych zagadnień epoki czyni sobie starczą złośliwą igraszkę. Obuchem zastarzałych nałogów uderza w kwietną błoń uczuć młodzieńczych, ognistych porywów, nowych kiełkujących prądów, potępiając wszystko, czego nie rozumie, a rozumiejąc bardzo niewiele.

Jest w „Barykadzie" (Akt II) scena, wobec której zżyma się serce i myśl opada w bezwładzie, pod ciężarem zgrozy, ohydy i wzgardy. Autor pokazuje tłum robotników, którzy się zrzeszyli, celem walki zbiorowej o polepszenie swej doli. Przeciwko nim wystąpił przedstawiciel kapitału. Bourget własnoręcznie uzbraja go w posłannictwo ewangieliczne i wyniosłą pokorę dawnych męczenników. Opromieniony chwałą swej energji, drwi on, metodą Sokratesa, z upośledzenia umysłowego robotników, szydzi z ich ciemnoty i nierozgarnięcia, z ich nędzy duchowej, której sami oni nienawidzą, z której wyjść oto pragną, i którą, choćby za cenę krwi, chcą przełamać. i to właśnie ich nieszczęście autor przeciwstawia naporowi ich dążeń, oskarża ich za niedolę i potępia za własną ich dziejową krzywdę.

Dalej w perswazji starczego okrucieństwa iść już niepodobna!

Gdy grano na scenie ów epizod, pośród widzów, tu i owdzie, ozwały się w mroku widowni krótkie urwane śmiechy: najniższe struny w naturze dusz ludzkich odbrzmiały zapewne tym śmiechem: był on jak syk cynizmu, owity dokoła krzyża hańby. Gdyby jedynym, artystycznym i moralnym wynikiem sztuki Bourget'a było wywołanie tej gadziny bezmyślnego śmiechu na ustach kilku widzów, kulturalnie zaniedbanych, to już byłaby ona winna najcięższej zbrodni, jaką popełnić można w świecie ducha, zbrodni — upodlenia natury człowieczej.

Naogół wszakże, czara wytrzymałości publicznej snadź przepełniona już była wrażeniami „Wirów". Może też dokonywający się zwolna zwrot w kierunku krytycyzmu i samodzielności zbiorowej ozwał się głośniejszą pobudką w opinji powszechnej. Na drugim przedstawieniu zebrała się już tylko garstka widzów, a zą czwartym razem widownia świeciła dosłowną pustka. Prasa codzienna podała wątek sztuki i naogół zgodnie wykazała jej nicość. Nie będziemy więc wchodzili w rozbiór zawartych w niej idej i przekonań poszczególnych, jak zresztą, nie dyskutuje się o wartości przekonaniowej światopoglądu komisarzy cyrkułowych, lub innych tego rodzaju poczciwców. Są to kwestje, leżące poza kręgiem naszego widzenia...

Natomiast kategorycznie i ostro postawić musimy szereg pytań w stronę „kierownictwa literackiego" sceny rządowej, powołując się na wyjątkowe i olbrzymie zadania kulturalne naszego Teatru:

1) W imię jakich ideałów, ojczystych czy wszechludzkich, wystawia się sztukę, która do przekonania trafiać może, tudzież aprobatę artystyczną zyskiwać jedynie u policmenów, u natur lokajskich, płaskich, u służalców i totumfackich, a także (rodzajem wyjątku) u p. Czesława Jankowskiego na łamach *Kurjera Warszawskiego*, który, wprawdzie, gani sztukę, lecz z innych względów.

2) W imię jakiej, krańcowo pojętej, bezinteresowności trwoni się kapitał, tudzież pracę i czas aktorów na bezskuteczną grę wobec sali, wypróżnionej z widzów?

3) W imię jakiej, podstępnie maskowanej polityki, stwarza się w najszerszych kołach publiczności *uzasadnioną* niechęć do spędzania wieczorów w Teatrze, wskutek czego unikanie przedstawień dramatycznych należeć będzie do oznak subtelnego smaku i wytworności nawyknień.

Pytania powyższe wiszą nad losami naszego Teatru, jako wyrazy obawy i lęku o przyszłość. Oby stały się wyrazami przestrogi! Pragniemy wierzyć i ufać, acz nie widzimy nic takiego na widnokresie najbliższych zamierzeń, coby otuchę najbłahszą mogło usprawiedliwiać. W działalności poprzedniej p. Kotarbińskiego były pomysły szczęśliwe i chwile jaśniejsze — to prawda. Wszelako wystawienie „Barykady" nastręcza podejrzenie, *a posteriori*, że momenty dodatnie mogły być i zapewne być musiały — tylko zrządzeniem przypadku, cudownym nieporozumieniem chwili.

W. Rzymowski.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Artykuł wstępny w ostatnim numerze *Izraelity* zatytułowany „Fanatyzm żydowski a kultura polska" wywołać musi przykre zdumienie każdego postępowego Polaka bez różnicy wyznania i pochodzenia.

Autor, p. J. W., stawia tam wielce osobliwe zagadnienie: „Czy fanatyzm żydowski jest dla kultury polskiej siłą groźniejszą w porównaniu z fanatyzmem katolickim, czy bardziej psuje świeżość ogólnej atmosfery kulturalnego życia?"—i odpowiada: „Bezwarunkowo — nie! I każdy rozsądnie myślący człowiek musi w tej sprawie stanąć w obronie żydów".

„Żydów?" czy fanatyzmu żydowskiego? Przecież jedno drugie wyklucza i na to każdy rozsądnie myślący żyd postępowiec — nie wyłączając redaktora *Izraelity*— chyba zgodzić się musi. Fanatyzm żydowski jest wrogiem żydów — z punktu widzenia idei postępu i asymilacji, gwoli której „Izraelita" został powołany do życia. Czy autor sądzi, że pojęcie żyda jest tak nieodłączne od pojęcia żydowskiego fanatyzmu, że obrona żydów wymaga apologji tego ostatniego i to jeszcze tak śmiesznej i płytkiej, jak dowodzenie, że fanatyzm katolicki jest jeszcze gorszy?

Pytanie pana J. W. jest równie jałowe i nieuzasadnione, jak dyskusja na temat, co zaraźliwsze: tyfus czy cholera? Czy mamy koniecznie wybierać?

Pytanie to jest nawet szkodliwe; wytwarza w umysłach czytelników fałszywe przekonanie, że wolno im się godzić z jednym złem dla zyskania na odporności przeciw drugiemu, gdy tymczasem rzecz się ma przeciwnie; wszystkie fanatyzmy podsycają się wzajemnie.

Samo postawienie tego pytania nasuwać musi wątpliwości, czy autor sam nie znajduje się w drodze do takiej rezygnacji, a szukając okoliczności łagodzących dla prądu, z którym walkę zapowiadał, poniekąd zadaje kłam swemu twierdzeniu, że „żyd, który na drodze postępu uczyni choćby jeden krok, odwraca się wnet od całego gmachu przesądów", a „ewolucja odbywa się w nim z bezprzykładną szybkością".

Może „odwraca się" tak dalece, że go już nie widzi, i że on go korcić przestaje. Toleruje go, żądając w zamian tylko, aby jego tolerowano i w ten sposób staje milcząca umowa, z której wynika, że kultura jednostek pozostaje bez najmniejszego wpływu na masy.

Ewolucja „bezprzykładnie" szybka — jest zarazem bezprzykładnie powierzchowna.

* „Ratujmy młodzież!"—woła w artykule wstępnym organ Łomżyński „Wspólna praca".

> Nikomu nie tajno, w jak opłakanym położeniu znajdują się wychowańcy szkół prywatnych, w szczególności w Łomży, niemniej nikomu jakoś nie przyszło do głowy po spieszyć im z pomocą. Wyższe uczelnie w Cesarstwie dla nich zamknięte, na dalszą naukę prywatną brak środków, brak sił fizycznych, brak — nie dziwcie się — nieraz i sił moralnych; o wyjeździe za granicę niema mowy. W rozterce i mękach niepokoju szamocą się bezradni, ci, którym— zdawałoby się — świat winien stanąć otworem, a społeczeństwo mija obojętnie wynędzniałe ich twarze...
>
> Jesteśmy przekonani, że to tylko jedno z tych tragicznych przeoczeń rozumu i serca, za które się nie wini pokoleń zbolałych, znękanych ciężkimi doświadczeniami, jeżeli tylko umieją ocknąć się w czas i zaniedbanie ze zdwojoną miłością ofiarnie odrobić.
>
> Przed nami leży „Ustawa Towarzystwa Pomocy dla byłych wychowańców Prywatnej Siedmioklasowej Szkoły Handlowej w Suwałkach", zarejestrowana 18 lutego r. b., przed nami — z drugiej strony—widmo najlepszych byłych uczniów łomżyńskiej Szkoły bez żadnych zgoła środków do dalszego kształcenia się prawidłowego.
>
> Więc pójdźmy za przykładem Suwałk, załóżmy takież towarzystwo u siebie niezwłocznie, a zanim ono powstanie i zacznie systematycznie gromadzić na ten cel fundusze, niech się posypią ofiary na pomoc doraźną dla tych maturzystów i maturzystek, którzy już za kilka tygodni *muszą* się znaleźć w ich posiadaniu. Powiadamy, że „muszą", bo społeczeństwo, któreby nie potwierdziło czynem, że „muszą", okazałoby się niewarte inteligientnej młodzieży.

Za przykładem Suwałk, dodajmy od siebie, iść winny jaknajrychlej wszystkie miasta polskie. Bowiem: dwa razy daje, kto prędko daje!

* „Myśl Niepodległa" w zeszycie ostatnim (Sierpień dekada II) odpiera zamieszczone w „Izraelicie" zarzuty p. Eug. Sokołowskiego, jakoby w polskiej prasie postępowej i wolnomyślnej powstał rzekomo prąd antysemicki, odpędzający czoło inteligiencji żydowskiej od ogólno-kulturalnej pracy pośród rdzennej ludności polskiej. Jest to poprostu bajka. Pan Eugenjusz Sokołowski stworzył marę i sam się z nią rozprawia. Nad pomieszaniem pojęć stokroć gorsze jest wymyślanie nieistniejących faktów. Sprawa przedstawia się całkiem inaczej.

> Gdy zapoczątkowaliśmy — pisze Niemojewski — krytykę katolicyzmu i judaizmu, nie jakieś „czoło inteligiencji żydowskiej" i nie nawet „inteligiencja żydowska", ale pewni publicyści żydowscy krytykę katolicyzmu przyjęli bardzo życzliwie, a krytykę judaizmu bardzo nieżyczliwie. Zrodziła się też kwestja, już swego czasu przez sjonistów podnoszona, że pewien rodzaj ruchliwych żydowskich „działaczy" idzie zawsze bardzo chętnie w szeregi polskiego socjalizmu, polskiego postępu i polskiej wolnej myśli, ale nietylko nie myśli o robocie wśród swoich, lecz nawet wszelką krytykę „swoich" piętnuje, jako objaw „antysemityzmu". Gdy zaś nie można było się z tym zgodzić i gdy się chciało jednaką miarą krytyczną mierzyć katolicyzm i judaizm, wtedy ci panowie chcieli utworzyć „une fable convenue", że polski postęp jest już całkiem „antysemicki", i że wolna myśl polska jest już także całkiem „antysemicka", przeciwko czemu silnie protestowano w obu tych odłamach naszej lewicy. Otóż tylko tak była kwestja stawiana, tylko o to chodziło i tylko w tych granicach wypowiadał się postęp i wolna myśl.

* Niemal jednocześnie z p. Józefem Wasercugiem, który w organie swym zastanawia się nad wartością względną fanatyzmu żydowskiego i fanatyzmu katolickiego, wstąpił na teren rozważań pokrewnych, acz z innej strony, p. Ludwik Straszewicz: w artykule „Katolicyzm a Polska" (*Słowo* 16 Sierpnia) przeciwstawia on bizantynizm watykanizmowi; między tymi dwoma biegunami kultury każe nam wybierać, dodając z namaszczeniem, że bizantynizm—to nasza zguba, natomiast w Watykanie jedyny ratunek. Ależ, zapytamy, na jakiej zasadzie p. Straszewicz każe nam wybierać, a raczej ogranicza nasze pole wyboru do dwóch tylko owych biegunów? Wybór nasz pada w rzeczywistości nazewnątrz wskazanych przezeń szranków. Przedmiotem wyboru naszego i ukochania jest właśnie wyzwolenie Polski z pod jarzma obcych tradycji i dźwignięcie gmachu kultury nowoczesnej na rdzennym gruncie samoistności narodowej.

KRONIKA.

DWA ZGONY. W poniedziałek d. 15 w więzieniu przy ul. Dzielnej (na t. zw. Pawiaku) zmarł nagle Władysław Okręt, który odsiadywał tam karę prasową.

Zmarły urodził się dn. 29 kwietnia 1870 r., był synem redaktora „Gazety Handlowej", znanego wydawcy, Rudolfa Okręta.

Władysław Okręt uczęszczał do gimnazjum w Warszawie, poczem wyjechał do Lipska, gdzie kształcił się specjalnie w zawodzie graficznym.

Powróciwszy do Warszawy, zmarły poświęcił się pracy na polu wydawniczym. Nakładem jego ukazał się szereg przekładów wybitnych dzieł literatury europejskiej, a mianowicie: Gerhardta Hauptmanna („Dzwon zatopiony", „Woźnica Hentschel". „Hanusia" i „Kolega Crampton"), Maurycego Maeterlincka („Księżniczka Malena"), Johna Ruskina, Edmunda Rostanda, A. Raubera, Gabryela d'Annunzio („Sen poranku wiosennego"), Juljana Klaczki („Rzym i odrodzenie" i „Juljusz II"), Fryderyka Nietzschego, Rudyarda Kiplinga („Księga Dżungli") oraz Peyre'a („Napoleon i jego epoka").

W okresie ruchu wolnościowego W. Okręt wydawae i redagował pismo „Nowiny", które zostały przez władz zamknięte i ściągnęły na redaktora karę rocznego więzienia.

W r. 1908 podjął wydawnictwo tygodnika „Wiek XX", które jednak musiał przerwać z powodu ciągłych kar prasowych.

W r. 1906 Okręt był współpracownikiem „Nowej Gazety".

Władysław Okręt był od szeregu lat kierownikiem „Kalendarza Handlowego", a w r. 1905 opracował i wydał „Rocznik naukowo-literacko-artystyczny" (encyklopedyczny), który stanowi dotychczas jedyne u nas w tym rodzaju, a bardzo pożyteczne wydawnictwo informacyjne o współczesnych literatach, malarzach, rzeźbiarzach, muzykach, aktorach, dopełnione (przez Wilbera) wyborem polskich archiwów, bibljotek, muzeów, zbiorów i zbieraczy.

Tegoż dnia zmarł Zygmunt Gloger, znany pisarz, ludoznawca, archeolog i historyk, urodzony w listopadzie r. 1845 we wsi rodziców swoich Jeżowej, w ówczesnej gubernji augustowskiej.

Od r. 1858 do 1868 pobierał nauki w Warszawie początkowe w szkole Leszczyńskiego, wyższe w szkole Głównej, potym w uniwersytecie krakowskim.

Będąc jeszcze w szkołach, od r. 1861 Gloger zaczął zbierać pieśni ludu i wykopaliska w swojej rodzinnej okolicy.

Po wstąpieniu do szkoły Głównej (r. 1865) poświęcił się studjom etnograficznym, archeologicznym i historycznym.

Pierwsze prace treści etnograficznej zaczął drukować w „Bibljotece Warszawskiej" r. 1867, a książeczki dla oświaty ludu pisać i wydawać zaczął od r. 1868. W r. 1869 w drukarni uniwersytetu krakowskiego zaczęła wychodzić pierwsza większa jego praca p. n. „Obchody weselne" pod pseudonimem Pruskiego. Odtąd pisywał dużo do czasopism warszawskich i drukował oddzielnie. Wogóle prace Glogera dadzą się podzielić na artykuły: etnograficzne, ekonomiczno-społeczne, życiorysy, opisy podróży po rzekach polskich, książki dla oświaty ludowej, zbiory rzeczy etnograficznych i dzieła popularno-naukowe.

Gloger pierwszy wprowadził do piśmiennictwa ludowego wybór z tak zwanej literatury żywego słowa ludu, przekazując do utrwalenia to, co lud zaczął zapominać i paczyć, a co zachować i rozwijać powinien. W tym zakresie opracował i wydał: „Starodawne dumy i pieśni", „Krakowiaki", „Kujawiaki, mazurki, wyrwasy i dumki pomniejsze", „Zabawy, gry, zagadki, żarty i przypowieści", „Baśnie i powieści", „Gody weselne", „Zwyczaje doroczne", „Marzenia samotnika", „Kujawiaki i dumki" w oddzielnej książce, „Mazury i wyrwasy" w oddzielnej książce, „Popas w Sławopolu" i „Skarbiec strzechy naszej".

W zbiorach etnograficznych pierwsze miejsce zajmują pieśni ludu, w liczbie przeszło 1,000, zebrane w latach 1861—91 i wydane z towarzyszeniem fortepianu przez Z. Noskowskiego.

Dalej idzie „Słownik gwary ludowej w okręgu Tykocińskim" (odbitka z 4-go tomu „Prac filologicznych"), zbiory przysłów, zagadek i t. p., drukowane w wydawnictwach Akademji Umiejętności i w „Wiśle".

Dzieła popularno naukowe ogłosił Gloger następujące:

„Księga rzeczy polskich", wydana także p. t. „Słownik rzeczy starożytnych", „Geografja historyczna ziem dawnej Polski", „Encyklopedja staropolska ilustrowana" w 4 tomach, „Rok polski w życiu, tradycyi i pieśni".

KARA PRASOWA. Redakcja *Gaz. Kujaw.* została skazana na zapłacenie 100 rb. kary za artykuł, umieszczony w Nr. 83 (grunwaldzkim) pt. „500 lat temu a dziś".

KARA ADMINISTRACYJNA. Drukarnia pp. Bilińskiego i Maślankiewicza skazana została administracyjnie na zapłacenie 15 rb. kary za to, że w programie konkursów lotniczych w Warszawie wydrukowała pomiędzy ogłoszeniami w dwóch językach, jedno ogłoszenie wyłącznie w języku francuskim.

ZMIANY W UNIWERSYTECIE KRAKOWSKIM. Z początkiem roku uniwersyteckiego 1910/11 mają zajść następujące zmiany wśród grona profesorskiego: Na mające się opróżnić katedry filozofji po prof. Straszewskim i ks. Pawlickim przedstawił wydział filozoficzny dr. Witolda Rubczyńskiego, radcę prokuratorji skarbu we Lwowie i honorowego profesora filozofji w uniwersytecie lwowskim, oraz prof. Władysława Heinricha, nadzwyczajnego profesora psychologji i metodologji nauk przyrodniczych w uniwersytecie krakowskim; wreszcie dr. Tadeusz Grabowski, nadzwyczajny profesor zoologji, ma być mianowany profesorem filozofji; na miejsce ustępujacego profesora botaniki, dr. Juzefa Rostafińskiego, ma być powołany dr. Marjan Raciborski. Katedrę chemji organicznej po prof. Schrammie obejmie prof. Kostanecki, katedrę zaś historji sztuki po prof. M. Sokołowskim ma objąć w zastępstwie kustosz Muzeum narodowego, dr. Juljan Pagaczewski. Na miejsce ustępującego prof. ks. Władysława Chotkowskiego wykładać będzie historję kościoła prof. ks. Fijałek ze Lwowa.

NOWY TEATR. P. Andrzej Mielewski, b. artysta teatru krakowskiego, a ostatnio reżyser teatru łódzkiego, zakłada w Łodzi „Teatr popularny", którego siedzibą będzie teatr „Apollo", przebudowany i odnowiony.

Afisz pierwszego przedstawienia w dniu 1-ym września r. b. zapowie sztukę historyczną Józefa Szujskiego „Królowa Jadwiga".

WYSTAWA PRZYRODNICZA dzięki pięknej pogodzie ściąga obecnie znaczne zastępy publiczności, interesującej się szczerze przyrodą. Objaśnień przez dzień cały udzielają pp.: Marya Stołyhwina, prof. Adam Czartkowski, F. Królikowski i Szynkman. Zbiory p. Juliusza Izaaka nadejdą w tych dniach do Warszawy. Zajmują one 120 gablot, wypełnionych 12 tysiącami okazów motyli chrząszczów.

OFIARY.

Na kolonje letnie: od następujących pracowników T-wa Nikopol-Mariupolskiego w Sartanie:

L. Wasilewski rb. 10. T. Jabłkowski rb. 10. T. Kobyliński rb. 3. S. Kleinsznek rb. 1. J. Tomaszewski rb. 1. S. Hegner rb. 2. S. Prauss rb. 3. H. Cywiński rb. 2. S. Pilarski rb. 1. G. Weker rb. 3. J. Rzewnicki rb. 2. J. Woroszyłło kop. 50. B. Jankowski rb. 3. A. Misiewski kop. 50. W. Lenk rb. 1. A. Kozikowski rb. 1. C. Padarewski kop.50. L. Mierzyński kop. 50. J. Rayski rb. 1. L. Prokopowicz kop. 50. L. Czaykowski rb. 1. Ogółem rb. 47 kop. 50.

Na szkołę w Kruszykn: W. Nikorowicz z Rossochowatej rb. 25.

Na wpisy dla uczniów szkół prywatnych polskich: W. Nikorowicz z Rossochowatej rb. 50.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Panu W. G, Mściszewskiemu. Autor broszurek, które Pana zainteresowały, nazywa się Izydor Wysłouch. Adres jego: Warszawa ul. Wspólna 34.

Działalność pisarska Sz. Pana jest nam zupełnie nieznaną. Zapewne i inne redakcje pism, które Pan z taką goryczą oskarża, równie mało o niej wiedzą. Przed „wyzwaniem na sąd" może należałoby uwzględnić tę okoliczność, już nie tylko łagodzącą, lecz obalającą oskarżenie.

Stanowisko nasze względem *Kurjera Poznańskiego* uzasadnialiśmy kilkakrotnie. Nie widzimy w nim bynajmniej organu postępowego, ani antyklerykalnego, boć takich — o ile wiemy, — wogóle w tej dzielnicy niema, lecz uznając, że obóz jego przeciwników jest i bardziej wsteczny i z innych względów szkodliwy, musimy mu życzyć powodzenia w walce na tym froncie. Spostrzeżenia z podróży po Mazurach pruskich — mogłyby dla nas stanowić bardzo ciekawy materjał, o ileby sposób opracowania ich odpowiadał potrzebom naszego pisma.

Książki nadesłane do Redakcji:

— „Przegląd Filozoficzny". Zeszyt III D-r Bronisław Biegeleisen. „O twórczości w naukach ścisłych". D-r Adam Zieleńczyk. „Psychologja w etyce". D-r Władysław Biegański. „Prewidyzm i pragmatyzm". D-r Adam Stögbauer. „Pfordtena teorja sądu i pojęcia". Sprawczdania. Autoreferaty. Wiadomości bieżące.

— „Sfinks". Lipiec 1910. Wł. B. „W pięćsetną rocznicę". Z. Miłkowski (T. T. Jeż) „Z archiwów muzealnych polskich w Rapperswilu". Gustaw Daniłowski. „Za ścianą". D-r Adam Zieleńczyk „Drogi bezdroża filozofji polskiej". Wacław Wolski. „Wczasy Kosowolskie". Jan Topass. „O karykaturach i afiszach". Jan Kreczmark. „Dziwny dzień". Roman Kreczmark. „Urzeczonym". J. Klemiensiewiczowa. „Bjornstjerne Bjornson". Henryk Heine Niemcy. (Baśń zimowa). Wł. Bukowiński. „Wrażenia Teatralne".

OGŁOSZENIA.

Wydawnictwa „PRAWDY”.

Antoni Szech: **Na sąd was wzywam**	Cena k. 30
Jerzy Kurnatowski: **O Solidaryzmie**	„ 20
E. St. Rappaport: **Radykalizm**	„ 20
Stefanja Sempołowska: **Z dna nędzy**	„ 25
Antoni Menger: **Prawo do całkowitego wytworu pracy**	„ 75

Popierana przez T-wo Kultury Polskiej

VIII klasowa Szkoła filologiczna

(z oddziałami realnymi)

M. KRECZMARA (założona przez Jana Kreczmara)

Kaliksta 8. tel. 75-31.

W roku szkolnym 1910—11 czynnych będzie sześć klas filologicznych, siódma realna i klasa wstępna. W razie napływu dostatecznej liczby kandydatów otworzona będzie klasa podwstępna.

Kancelarja przyjmuje zapisy codziennie, oprócz świąt, w godzinach szkolnych.

Egzaminy wstępne 25 sierpnia. Początek lekcji 30 sierpnia.

Wpis roczny wynosi: kl. podwstępna rb. 50, klasa wstępna rb. 80; I i II rb. 100; III i IV rb. 120. — Pozostałe rb. 130.

Wychodzi w każdy czwartek

NOWY

SZCZUTEK

Tygodnik satyryczny.

IV rok istnienia.

W Warszawie: rocznie rb 4., półrocznie rb. 2, kwartalnie rb. 1.

Za przesyłkę pocztową dopłaca się **rubla** w stosunku rocznym.

Adres Administracji: **BIURO UNGRA, Aleja Jerozolimska 78, w Warszawie.**

Nowa książka

Adama Szymańskiego

(autora Szkiców)

Z Jakuckiego Olimpu

baśń 149 str. 80 k. — u Gebethnera i Wolffa.

Prenumerata „Prawdy”

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50** rocznie rb. **10.**

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ:

POLITYKA I ŻYCIE SPOŁECZNE: Bezkrulewie ducha, przez Bolesława Leśmiana. — ODCINEK: Jean Moréas: Dokoła ksiąg i ludzi. — Ojczyzna robotnika, przez Izę Moszczeńską. — Watykan bez maski, przez L. G. – Kwestja kobieca w wiekach średnich, przez Jana St. Lewińskiego. — NA DOBIE: Z wyroku partyjnego. — Pasporty. — BADANIA NAUKOWE: W poszukiwaniu nowego światopoglądu, przez Ludwika Kulczyckiego. — LITERATURA I SZTUKA: Wspomnienia młodej robotnicy, przez Z. O. Starcze igraszki, przez W. Rzymowskiego. — Z PRASY: Z prasy polskiej. — Kronika. — Ofiary. — Odpowiedzi od Redakcji. — Książki nadesłane do Redakcji — OGŁOSZENIA.

Wydawca: Józef Jabłoński. **Redaktor: Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.